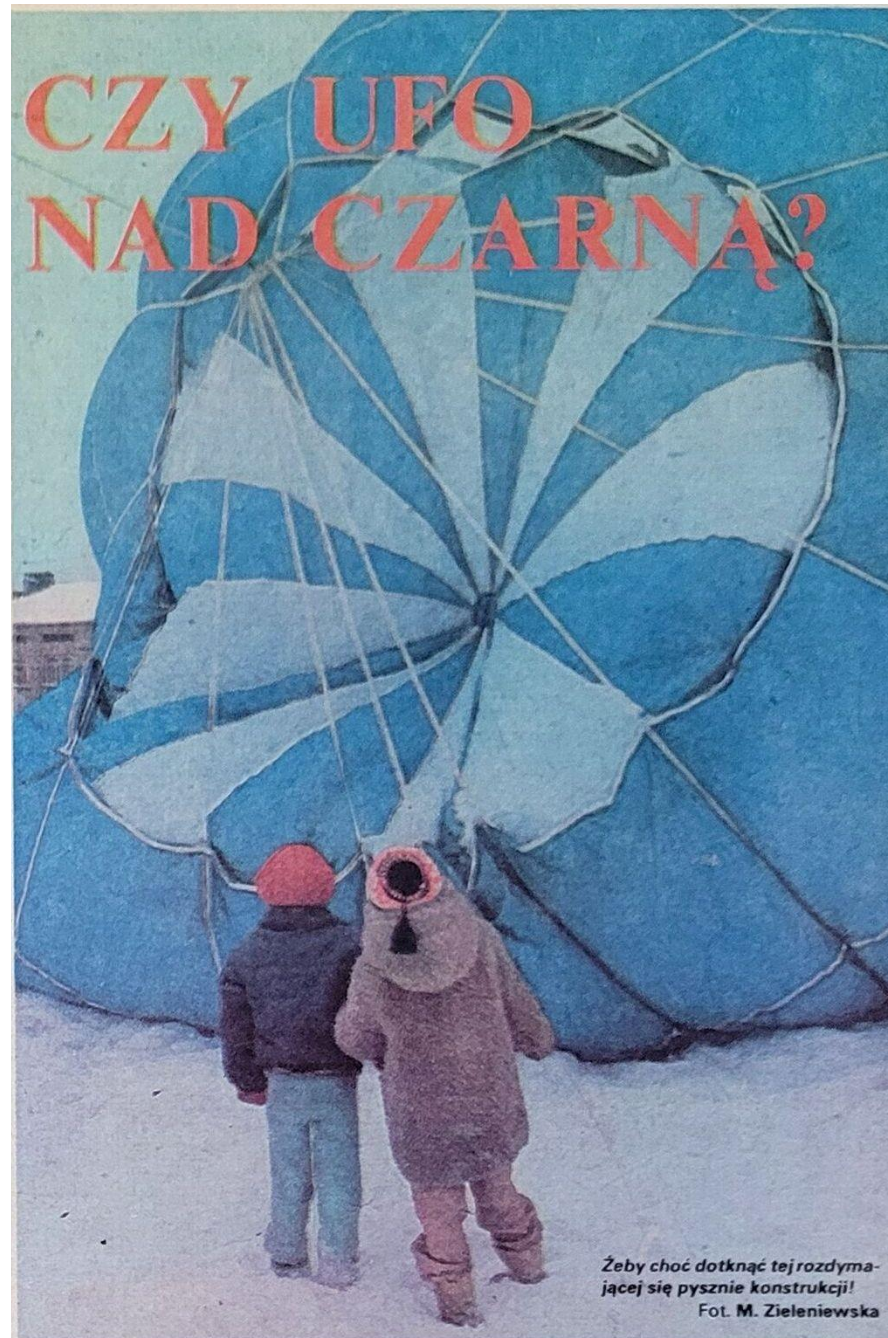
WTOREK
Nr 40 85-04-02 Cena 5 zł

# ŚWIAT MŁODYCH



HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW




*Żeby choć dotknąć tej rozdymającej się pysznie konstrukcji!*
Fot. M. Zieleniewska

***Laureat I nagrody pojedzie w lipcu do Moskwy***

## Festiwalowy konkurs plastyczny



**CIMEA** — Międzynarodowy Komitet Ruchów Dziecięcych i Młodzieży Dorastającej ogłasza konkurs pod hasłem: **„Chwała pokojowi, chwata festiwalowi”**.

*„Chcielibyśmy* — piszą organizatorzy — *aby poprzez ten konkurs dzieci mogły przedstawić, jak rozumieją idee zawarte w haśle festiwalu: „O internacjonalistyczną solidarność, pokój i przyjaźń"; jak widzą swój ewentualny udział w praktycznym ich zastosowaniu, w szczególności w rozwoju przyjaźni, wzajemnego zrozumienia i współpracy dzieci z całego świata. Konkurs będzie również dobrą okazją dla wyrażenia solidarności ze wszystkimi dziećmi, które cierpią z powodu wojny i głodu, jak również pragnienia, by żyć w pokoju i korzystać ze szczęśliwego dzieciństwa ".*

Prace mogą być wykonane dowolną techniką i w dowolnym formacie. Dołączyć do nich trzeba następujące dane: tytuł, imię i nazwisko autora, jego wiek oraz dokładny adres zamieszkania. Należy je **nadsyłać najpóźniej do 30 kwietnia 1985 r. pod adresem: Główna Kwatera ZHP, ul. M. Konopnickiej 6, 00-491 Warszawa**, z dopiskiem na kopercie **Konkurs CIMEA.**

Na początku maja krajowe jury wybierze trzy najlepsze prace, które przekazane do CIMEA będą konkurować z przesłanymi rysunkami z innych krajów. Autor (autorka) najlepszego rysunku weźmie udział w dziecięcym programie XII Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Moskwie. Przewidziane są również nagrody dla zdobywców dalszych miejsc. Najlepsze konkursowe prące będą Wystawione na XII ŚFMiS.

## Sportowy kwiecień

**(Inf. wł.).** Sezon piłkarski rozkręca się coraz-bardziej. Trwają eliminacje do MŚ. Nas interesuje głównie mecz Albania-Grecja (17 IV), którego wynik ma spore znaczenie dla końcowego układu „polskiej" grupy eliminacyjnej.'Dobiegają końca rozgrywki pucharowe; 24 kwietnia poznamy finalistów europejskich pucharów. Na szosy wyjeżdżają już kolarze; najważniejszą w tym miesiącu imprezą jest Wyścig Bergamasco (15-20 IV), w którym wystartują i nasi zawodnicy. Na wyjątkowo ciekawy turniej wybierają się hokeiści. W Pradze (17 IV-3 V) odbędą się bowiem MŚ grupy A, z udziałem najlepszych drużyn.

Podobną imprezę zaplanowali sobie strzelcy pneumatyczni. Spotkają się oni pod koniec miesiąca, aż w dalekim Meksyku.

Ruszają wreszcie do walki najszybsi kierowcy, czyli zawodnicy Formuły 1. W kwietniu czekają ich dwa Grand Prix - Brazylii oraz Portugalii. Jeżeli już mówimy o sportach samochodowych, tó nie możemy pominąć słynnego Rajdu Safari, w którym zawsze dzieją się ciekawe rzeczy.

Na boiska wybiegają też najmłodsi lekkoatleci, czwórboiści. Niebawem (pod koniec kwietnia lub na początku mają) spotkają się oni w eliminacjach - najpierw wojewódzkich, a następnie strefowych. Zwycięzcy wezmą udział w zawodach centralnych.

**(zp)**

## TU LIGA REPORTERÓW




***Cześć!***

Dziś na stronię drugiej znajdziecie ostatnie już korespondencje zamieszczone pod hasłem **CZEGO POTRZEBA MOJEJ SZKOLE?**

W następny wtorek rozpoczynam druk wspomnień ludzi różnych zawodów, spisanych przez członków i kandydatów na członków Ligi Reporterów, a poświęconych pamiętnym dniom sprzed lat czterdziestu.

**SZEF**
**Ligi Reporterów**




## PIERWSZY DOM TOWAROWY KOMPUTERÓW

**USA (PAI)**. Ojczyzna komputerów - Stany Zjednoczone - dumna jest z osiągnięć w rozwoju elektronicznej techniki obliczeniowej i nadal zaskakuje oryginalnymi pomysłami. W kraju tym otworzył podwoje pierwszy na świecie supermarket handlujący wyłącznie maszynami cyfrowymi i ich oprogramowaniami. Po trzech latach budowy na przedmieściach Dallas (w stanieTeksas) powstała ośmiopiętrowa, stalowa budowla stylizowana na londyński Crystal Pałace. Całe jej wnętrze o pow. 140 tys. m kw. wynajęto firmom komputerowym. Można tam sprzedawać urządzenia elektroniczne lub organizować ich wystawy. „Infomart" - bo tak nazwano placówkę - cieszy się wśród klientów tak dużym powodzeniem, że przystąpiono do budowy podobnego obiektu w eksponowanym miejscu Nowego Jorku przy Times Square. Planuje się także eksport pomysłu do Europy Zachodniej. Na naszym kontynencie domy towarowe „Infomart" w pierwszej kolejności powstaną w Paryżu i Frankfurcie n. Menem.

## Stereofoniczna telewizja

JAPONIA (PAP). W japońskich domach jest 5,5 min odbiorników telewizyjnych przystosowanych do odtwarzania fonii w wersji stereofonicznej. Nie wszystkie programy nadawane są jeszcze w stereo; głównie dotyczy to sprawozdań z zawodów sportowych oraz filmów. Przewiduje się, że stereofoniczny dźwięk odbierać będzie coraz więcej telewidzów w Japonii.

W zasięgu stacji, które nadają programy z takim dźwiękiem, jest bowiem 87 proc, domostw w tym kraju.

# FORMUŁA 1



## EMERSON FITTIPALDI
### (Brazylia)

Jego matka, pani Józefa (z domu Wojciechowska), urodziła się w Polsce. Możemy więc mówić, że w żyłach dwukrotnego mistrza świata (1972 i 1974) płynie nasza krew. Już od wczesnej młodości Emerson zajmował się wyłącznie samochodami. Brał udział w wyścigach kartingowych i rajdach. Wreszcie wylądował w Wielkiej Brytanii, gdzie zaczął pracować jako mechanik. Wystartował też w Formulę 3. Tam dał się poznać jako zdolny kierowca. Czynił błyskawiczne postępy, awansował do F 2. Kiedy na torze w Monza zginął Rindt („Lotus") Colin Chapman zaczął poszukiwać jego następcy. Brazylijczyk spełniał wymagania szęfą firmy i w ten sposób trafił do F 1 (1970). Miał wówczas zaledwie 24 lata. W barwach „Lotusa" wygrywa kilka Grand Prix i zdobywa pierwszy tytuł mistrza świata. Po drugi sięga już w zespole „McLarena". W sumie uczestniczył w 144 wyścigach, wygrał 14. Obok niego startował także brat Wilson, ale ani razu nie udało mu się zostać triumfatorem GP. Fittipaldi (obecnie nie startuje) należał do wyjątkowo ostrożnie jeżdżących i zdyscyplinowanych kierowców. Lubił tory o dużej liczbie zakrętów. Tam mógł wykorzystać swoje znakomite umiejętności techniczne.




# CZEGO POTRZEBA MOJEJ SZKOLE?

**Witam!**

**Problem okazał się niewyczerpany! Gdyby wszystkie nadające się do druku korespondencje zamieścić - jeszcze długo Ligę Reporterów zapełniałyby Wasze żale i szkolne smutki...**

**Nie tylko ciasnota klas szkolnych, brak sal gimnastycznych i podstawowych pomocy naukowych były tematem Waszych listów. Także zaniedbania, niechęć do właściwego wykorzystywania tego, czym szkoła dysponuje. Okazaliście się surowymi sędziami dla niektórych nauczycieli, a także - a może przede wszystkim - dla wielu kolegów, którzy nie szanują wspólnego dobra.**

**Czy dzięki ujawnieniu owych przykrych, nieraz kompromitujących spraw (ubikacje!) coś się zmieniło? jak wynika z niektórych listów i sygnałów, jakie do mnie dotarły - tak. W pewnych szkołach dyrekcje zarządziły generalne porządki. Ale generalny porządek powinien-być zawsze! Nie może to być akcja doraźna, wykonana pod wpływem krytycznych uwag zamieszczonych w gazecie, lecz codzienny obowiązek spełniany przez osoby odpowiedzialne za konserwację mienia i zachowanie czystości.**

**Rozbudową i budową nowych szkół zajmuje się już prawie 4 tys. utworzonych Komitetów Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Za parę lat efekt będzie widoczny. Na informacje o działaniu komitetów Liga Reporterów czeka.**

**SZEF Ligi Reporterów**

**UWAGA: Wasze najciekawsze i najsurowsze wypowiedzi przekazałem do red. „Głosu Nauczycielskiego", gdyż sądzę, że warto aby i pedagodzy zapoznali się z Waszymi opiniami na temat: CZEGO POTRZEBA MOJEJ SZKOLE.**

### HONOR...

Chciałbym wnieść pewne sprostowanie dotyczące mojej wypowiedzi wydrukowanej w 19 nr. „Świata Młodych". Otóż byłem źle poinformowany co do picia alkoholu przez uczniów na terenie szkoły. Dopiero po wydrukowaniu artykułu dowiedziałem się, że to nie było tak. Uczniowie pili alkohol, ale po skończonych zajęciach lekcyjnych i nie na terenie szkoły, lecz poza nią. Bardzo przepraszam za ten błąd i piszę, gdyż nie chcę, aby moja szkoła utraciła honor...

„Bruce"

### MAGAZYN STARYCH KRZESEŁ W SALI GIMNASTYCZNEJ

Mieszkam niedaleko Przemyśla. Szkoła, do której chodzę składa się z dwóch budynków. Pierwszy, wysoki, dwupiętrowy mieści w swoich piwnicach kotłownię, szatnię i stołówkę. Parter zajmuje świetlica. Na I piętrze są klasy od I do III, sekretariat i pokój dyrektora; na II piętrze jest pokój nauczycielski, klasy VII-VIII i ubikacja.

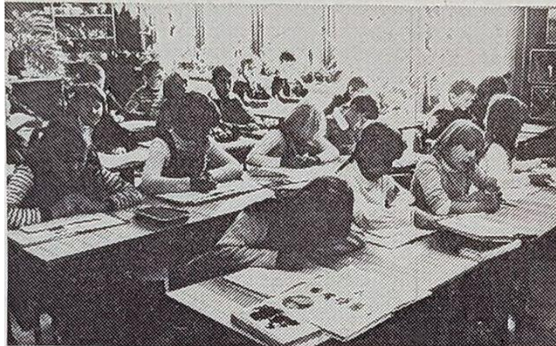
W piwnicy jest pracownia ZPT, na parterze wc, szatnia i sala gimnastyczna. Wyżej jest biblioteka szkolna i druga sala gimnastyczna. Na II piętrze są klasy IV, V, VI.

Największy problem to Sale gimnastyczne i związane z tym przechodzenie z jednego budynku do drugiego. Tu trzeba zaznaczyć, że są one oddzielone od siebie ulicą i czasem zdarza się, iż jakiś „nerwowy" kierowca potrąci ucznia, Sala gimnastyczna na parterze jest rzadko używana, bowiem zastawiona jest różnymi krzesłami, stołami itp. Druga jest mniejsza i nie można w niej pograć w piłkę, ponieważ szyby nie mają siatki ochronnej. limą rzeczą, która wszystkich gnębi, jest brak pomieszczeń. Uczniowie z IVa, b, c i Va, przechodzą na lekcje do klas siódmych i ósmych, które w tym czasie mają zajęcia praktyczne lub wf. I wtedy na klatce schodowej (zwłaszcza w drugim budynku) robi się ścisk nie do wytrzymania. Trzecia sprawą tó ubikacje i szatnie. Z tych pierwszych robi się jakieś „kluby", w których przesiadują palacze. Szatnie są w obu budynkach, lecz mało kto zmienia buty i ściąga płaszcz. Dyrektor postawił na schodach dwuosobowe „wachty", ale i tó niezbyt pomaga.

Obok szkoły mamy niewielkie boisko, używane latem. Jest ono otoczone z jednej strony ulicą i ścianą szkoły, a z drugiej skarpą oraz dachem przedszkola, które położone jest na skarpie. Każdy kto gra „w nogę" wie, że nie można mocno kopać piłki, bo wyleci na ulicę lub (co gorsze) wpadnie na dach przedszkola.

Myślę, że gdyby dobudowano jeden budynek z salą gimnastyczną, ogrodzono boisko i gdyby uczniowie pilnowali porządku, byłoby ładniej w naszej szkole.

**„Bimbo" Dybawka**



### ZAKAZY I PRZYKAZY

W naszej szkole uczą się uczniowie klas V-VIII. Wydawałoby się, że jak są starsze klasy, to i będzie szkoła lepsza. Niestety, to co się dzieje w ubikacjach w czasie przerw, a także i lekcji jest nie do zniesienia! Aby się załatwić trzeba mieć dużo szczęścia, ponieważ ubikacje są oblegane przez uczniów klas VII i VIII, którzy grają tam w karty (oczywiście na pieniądze), palą papierosy oraz plują na każdego, kto wchodzi. Jeśli się jednak wejdzie i chce się załatwić (wtedy gdy nie ma miłośników kart, palenia i plucia), to nauczyciel dyżurujący w pobliżu łapie i podejrzewa o palenie! Krzyczy przy tym i wyzywa niewinnych uczniów.

A to, co wprowadzają nauczyciele na przerwach, jest po prostu śmieszne. Każą stawać parami i... maszerować grzecznie dookoła korytarza. Także na lekcjach nauczyciele każą uczniom robić dla siebie kawę albo herbatę i tylko szukają okazji, aby ktoś za karę przyniósł coś do klasy... Najlepiej mają synowie nauczycielek, których mamy pracują w tej szkole, ponieważ nic nie muszą robić. Wystarczy aby się taki raz podlizał, a dostaje co lekcję dobry stopień. Nauczyciele twierdzą również, że dzwonek na przerwę jest dla nich i przedłużają sobie lekcję. Na przerwie trzeba usiąść w ławkach albo maszerować dookoła korytarza. Stanąć koło okna nie wolno, ponieważ nauczyciele twierdzą, że w ten sposób wybijamy okna! Na tym kończę mój list. Mam 14 lat i chodzę do szkoły podstawowej nr 4 w Wałbrzychu.

**„M"**

### KTÓRA LEPSZA?

Moja Vc jest najgorszą klasą w całej szkole. Jest niezgrana, niegrzeczną, jak mówią nauczyciele i dyrektor. Tak, to jest prawda, ale klasa Vd jest jeszcze gorsza!

Klasa nasza, jak mówią uczniowie, jest „goła". Ławki są tablicą informacji, ściany - prawie gołe. Wiem, że nauczyciele i dyrektor troszczą się o szkołę, ale uczniowie i uczennice niszczą ją! Widać to zwłaszcza w toaletach! Boisko nasze w czasie opadów deszczu wygląda jak morze dlatego, że są tam kałuże. W szkole jest dużo zieleni, bo dbamy o nią. Szkoła ma 3 piętra. Na ostatnim jest biblioteka - raczej 2 biblioteki, a na parterze mamy kiosk, w którym sprzedaje się oranżadę; kalendarze, tarcze, ołówki, zeszyty, bułki.

Moja szkoła - Szkoła Podstawowa nr 1 im. Bolesława Chrobrego, moim zdaniem jest najlepszą szkołą w Szprotawie!

**Krzysztof**

### IDĄC TAM, CZUJĘ STRACH!

Chodzę do I klasy LO. Szkoła ta ma wysoki poziom jeśli chodzi o naukę. Nauczyciele są bardzo fajni - ale tylko niektórzy. Część taktuje nas jak ludzi, którzy nie mają nic do roboty, tylko uczyć się jedynego i to „ich" przedmiotu. Na przykład profesor od biologii podaje „najkrótsze" notatki na 3 kartki, a nieraz na 10! I mówi:

- Macie do nauki całe popołudnie i całą noc.

Ponieważ lekcję mamy zaraz na drugi dzień, to ja nie jestem w stanie tak się uczyć!

Kiedy idę do szkoły, okropnie się boję, chociaż umiem. A gdy wyrywają mnie do odpowiedzi, robi mi się słabo i myślę o tym, jaki stopień dostanę. W nocy nie mogę spać. Wychowawca powiedział, że te dwóje to na otrzęsiny, aby odzwyczaić się od szkoły podstawowej.

To chyba nie jest w porządku? To jest zniechęcanie i odstraszanie uczniów od szkoły! Pragnęłabym, aby nauczyciele zrozumieli nas i pomogli nam w przystosowaniu się do nowej szkoły.

**„Julietta"**
**woj. piotrkowskie**

### JAK UŁATWIĆ NAUKĘ?

Jestem uczniem małej, starej szkoły w województwie leszczyńskim. Szkoła nie może pochwalić się dobrym wyposażeniem nawet... w pomieszczenia. Dlatego też np. lekcje wychowania fizycznego podczas niesprzyjającej pogody odbywają śię w niewielkiej salce, która była niegdyś kuchnią szkolną. Był także okres, kiedy lekcje odbywały się w pokoju nauczycielskim, a nawet w kancelarii, lecz na szczęście okres ten minął z czasem, gdy została wykonaną pracownia nauczania początkowego (z dawnego, niepotrzebnego zresztą, strychu szkolnego).

Drugą wielką udręką naszej podstawówki jest wprost katastrofalny brak pomocy naukowych i rekwizytów do przeprowadzania doświadczeń. Nauczyciel chemii i fizyki musi dokazywać wręcz cudów pomysłowości, by wykonać proste doświadczenia, nie mówiąc już o bardziej złożonych. Nie lepiej jest ze sprzętem do lekcji geografii. Z własnego doświadczenia wiem, ile wysiłku kosztowało doprowadzenie do stanu używalności starych, często już nieaktualnych map i kilku globusów.

Myślę, że resort oświaty powinien położyć większy nacisk na pomoc szkołom wiejskim, lecz my, jako ich uczniowie musimy doceniać wysiłki nauczycieli i pomóc im, ponieważ jedynie tą drogą możemy równocześnie ułatwić naukę sobie.

**Roman P.**




### Tak mnie to męczy...

Chodzę, do szkoły średniej w Toruniu, mieszkam w internacie. Kiedy chodziłam do podstawówki, którą skończyłam rok temu, wszystko było po mojej myśli. W bloku tworzyliśmy fajną paczkę kumpli. Dyskoteki organizowaliśmy zawsze razem.

Od kiedy jestem w internacie, wszystko się popsuło. Żadnego zgrania; utworzyły się dwie grupy: chłopcy - dziewczyny (dawniej nie było tego podziału). Niektóre, dziewczyny jednak utrzymują kontakt z chłopakami. Ja zostałam odepchnięta. Zostałam sama z Magdą (moją przyjaciółką);

Kiedy przyjeżdżam z internatu do domu, chwilami chce mi się płakać! Jeśli wyjdę na podwórko, skyną mi tylko przez zęby „cześć" i idą dalej. Jeżeli jest dyskoteka, wybierają się na nią tak, żebym ja nie wiedziała. To jest dla mnie straszne - czy muszą mnie w ten sposób traktować? Proszę, wydrukujcie mój list, może przeczytają i się zmienią.

**Odrzucona Beata**

### Muszę prosić o każdą złotówkę

Jako uczennica LO znajduję w „ŚM" wiele ciekawych artykułów, odpowiedzi na różne problemy, itp. Najchętniej czytam jednak „niebieski pasek". Piszą tu ludzie o swoich kłopotach, czasami o sukcesach. Wielu znajduje odpowiedź na swoje kłopoty czy problemy. Mam nadzieję, że i mnie ktoś pomoże.

W domu jest nas troje (ja i dwóch braci). Każde z nas ma swój kąt do nauki, półki na książki itp. Mamy oddzielne pokoje (mieszkamy w prywatnym domu); ja mam swój duży „zielony", a chłopcy nieco mniejszy, ale przytulny. Uczę się przeciętnie, nie najlepiej, ale i nie najgorzej.

Wydawałoby się, że nic nie zakłóca harmonii naszego rodzinnego życia, a tak nie jest. Ja - dziewczyna bądź co bądź prawie szesnastoletnia - jestem znerwicowana. Denerwuje mnie nawet błahostka, np. gdy któryś z braci robi to czego nie powinien. Doprowadza mnie to do białej gorączki, ze złości prawie się trzęsę. Przed wszelkimi załamaniami psychicznymi ratuje mnie to, że mogę się wykrzyczeć (głos mam „dość" donośny).

W ostatnim czasie pomiędzy mną a rodzicami wytworzyła się pewnego rodzaju przepaść. Nie możemy znaleźć wspólnego języka w wielu sprawach. Ciągle są jakieś spięcia, a nawet kłótnie. Rodzice nie rozumieją mnie. Mama ciągle - dosłownie prawie bez ustanku powtarza, że nie posiada kopalni pieniędzy i że pieniądze nie spadają z nieba jak śnieg. Mówi mi, że żądam rzeczy, których mi nie kupi, bo gdyby zaspokajała każdą moją zachciankę, to by poszła z torbami. Tak naprawdę nie chcę wiele, tylko tyle by mi starczyło.

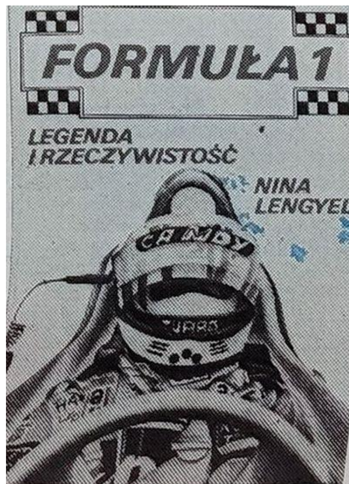
Dokładnie chodzi mi o kieszonkowe. Chyba każdy ma zawsze te swoje własne grosze? Może kupić za nie to co chce. Ja natomiast muszę prosić o każdą złotówkę. Nawet nie mam śmiałości poprosić co tydzień lub nawet co dwa tygodnie o 30 zł na hot-doga, bo usłyszałabym: „nie mam pieniędzy". A gdybym posiadała te 100 lub 150 zł na miesiąc, miałabym fundusze na jedzenie i na inne potrzebne mi rzeczy. Nie wiem jak w tej sprawie dojść z rodzicami do porozumienia? Nie mam już siły walczyć, o swoje racje, a uważam, że je mam. Teraz w domu są tzw. ciche dni. Nie odzywam się ani do mamy, ani do taty. Choć może nie mam racji, będę uparta. Może, wtedy zrozumieją, że na swoje wydatki muszę mieć pieniądze. 100 czy150zł na miesiąc nie jest tak ogromną sumą i mogłabym je dostać. Liczę na Waszą pomoc.

**Małgorzatka**

**OD REDAKCJI: Możemy Ci tylko napisać co na ten temat sądzimy. Otóż uważamy, że każdy młody człowiek powinien otrzymywać tzw. kieszonkowe. Jest to okazja do nauczenia się oszczędności, gospodarności (na co wydać?) itd. itp. Co tu dużo mówić - wiecie o co chodzi. No właśnie - a może Małgorzatce pomogą (co często się zdarza w „RP") czytelnicy? Jak jest w ich domach? Kto otrzymuje kieszonkowe? Na co i jak je wydaje? Wraz z Małgorzatką czekamy na wypowiedzi. (bs)**

# FORMUŁA 1

## Pasjonująca lektura




Mamy w Polsce stosunkowo bardzo mało wiadomości o wyścigach Formuły 1. Dlatego też postanowiliśmy wydrukować kończący się dziś cykl materiałów. Sądzimy, że Czytelnicy „Świata Młodych", dzięki zamieszczonym odcinkom, mogli bardziej poznać problemy Grand Prix, a także osiągnięcia niektórych kierowców. Zainteresowanych tymi zagadnieniami odsyłamy do wydanej w ubiegłym roku przez „Sport i Turystykę" książki Niny Lengyel zatytułowanej „Formuła 1. Legenda i rzeczywistość." Autorka (polskiego pochodzenia) jest jedną z nielicznych dziennikarek należących do International Racing Press Association (międzynarodowy związek sprawozdawców prasowych i radiowo-telewizyjnych, towarzyszących F1). Legitymacja IRPA zezwala jej na swobodne poruszanie się po wszystkich obiektach zawodów F1, rozmowy z kierowcami, mechanikami oraz szefami poszczególnych firm. Nina Lengyel była wcześniej korespondentką „Motoru", „Kulis", „Sztandaru Młodych" i „Przeglądu Sportowego". Bez wątpienia należy ona do najwybitniejszych znawców F 1. Stąd też jej książka stanowi prawdziwą skarbnicę wiadomości. Szkoda tylko, że nakład wynosi zaledwie 50 tys. Z tego powodu należy jej szukać raczej tylko w bibliotekach. A warto.

**Nina Lengyel: Formuła 1. Legenda i rzeczywistość. Sport i Turystyka, Warszawa 1984, cena 220 zł.**

Repr. **M. Włodarski**

## Po ulicach miast

Niemal wszystkie tory, gdzie odbywa się rywalizacja samochodów formuły 1 są zbudowane specjalnie do tego celu. Jednak istnieją trasy tylko przystosowane do zawodów F 1. Mamy tu na myśli tor w Monaco i w Long Beach (USA), które prowadzą ulicami miast. Od przecznic, domów, parków, oddzielają je małe murki. Ze względu na szczupłość miejsca brak jest tam nawet zwykłych stalowych siatek (których celem jest łagodzenie skutków wypadnięcia z trasy samochodów) nie mówiąc już o wolnej przestrzeni, na której można by swobodnie się zatrzymać w razie defektu maszyny. Siłą rzeczy są to tory bardzo trudne i równie niebezpieczne. Najmniejszy błąd kierowcy, drobna awaria auta mszczą się tam podwójnie. Zawodnikom grozi głównie rozbicie się o beton muru, a następnie zbiorowy karambol.

Kierowcy i kierownictwo F 1 wiedzą dobrze o tych niebezpieczeństwach. Ale wyścigi trwają nadal.

## PANIE ZA SŁABE

Lektura „czytadeł" o wyścigach najszybszych samochodów skłania do wyciągnięcia jednego tylko wniosku: są to zawody wyłącznie dla mężczyzn.

Wprawdzie wytrzymałość kobiet jest olbrzymia (niektórzy twierdzą, że pod tym względem panie górują nad panami), ale w sprinterskim wyścigu Formuły 1 potrzeba raczej siły niż wytrzymałości. Znam wypadki licznych zwycięstw przedstawicielek płci pięknej w zawodach samochodowych, ale wszystkie one dotyczą wyścigów wielogodzinnych lub wieloetapowych rajdów. W F 1 nie można pozwolić sobie na moment odpoczynku, trzeba też walczyć z ogromną energią odśrodkową, spychającą w bok auta będące na wirażach. Ta potężna siła odśrodkowa jest przyczyną wielu wypadków – na łukach trudno jest zawodnikom utrzymać w pionie nawet własną głowę. Poza tym rywalizacja w F 1 - wydaje nam się - jest dla kobiet zbyt brutalna.

Z tych oto powodów nie widzimy ich w imprezach Grand Prix. Nie znaczy to wcale, że droga do F 1 jest dla pań zamknięta.

Prezentowane we wszystkich odcinkach fotografie kierowców i ich samochodów pochodzą z czechosłowackiego wydawnictwa „Pressfoto" ČTK Praga, Ich autorem jest Pavel Vacha.

Całość opracował **ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI**

*Sto wierszy o kulturze*

# KOCHAŁ RÓŻE I SŁOWIKI

Kiedy miał czternaście lat, mnóstwo kompleksów i wrażliwą, cichą, skłonną do melancholii naturę, postanowił, że zostanie sławny. Uprosił więc matkę, by pozwoliła mu opuścić rodzinny dom w Odense i wyjechać w wielki świat, do Kopenhagi. Matka - poczciwości kobieta, niepiśmienna praczka ze skłonnościami do alkoholu, najpierw załamała ręce, a potem zawezwała z pobliskiego szpitala znajomą, „mądrą" staruszkę, która z kart i fusów od kawy wywróżyła Hansowi Christianowi — synowi Andersenów - wielką przyszłość. W pierwszych dniach września 1819 roku, z trzynastoma z trudem uciułanymi talarami w kieszeni, i w pierwszych prawdziwych butach, które odziedziczył po śmierci ojca, ubogiego szewca-łaciarza, jechał więc na spotkanie wymarzonej sławy. Zostawiał za sobą Odense - małe miasteczko na ślicznej, rolniczej wyspie Fyn. Zostawiał biedny dom, szare, smutne dzieciństwo i babkę - siwą staruszkę, do której był ogromnie przywiązany. To właśnie ona opowiadała mu w chorobie najpiękniejsze bajki o lodowej pani, dobrych wróżkach, elfach i czarodziejskich ogrodach, ona uszyła mu z resztek lśniącego jedwabiu śliczną kamizelkę... Ona prowadzała go często do przyszpitalnego parku, w którym pracowała, i do przytułku dla ubogich, gdzie w świat czarów i zabobonów wprowadzały go stare prządki. Ze wspomnień dzieciństwa zapamiętał również niesamowite, pobudzające i tak bujną wyobraźnię... odwiedziny w więzieniu, dokąd ojciec i matka zaproszeni zostali kiedyś na przyjacielską pogawędkę przez odźwiernego. I jeszcze postać dziadka - znanego w miasteczku, nieszkodliwego pomyleńca, który w trójkątnym kapeluszu z gazety, przybranym kwiatami i zielenią, otoczony chmarą dzieciaków, krążył po Odense i okolicznych wioskach, wyśpiewując i pohukując coś na całe gardło.

Ambicja i chęć zdobycia sławy trawiła Hansa Christiana przez całe życie. Dziwne życie - pełne głębokiego przekonania, że jest istotą niezwykłą, chciwe wrażeń, blasku dworów, miłości i przyjaciół, szczęśliwego, spokojnego domu.

Niestety, nie wszystkim marzeniom dane było się ziścić i sporo czasu musiało upłynąć, zanim pełne kompleksów, biedne, zahukane „brzydkie kaczątko", przeistoczyło się w dumnego królewskiego łabędzia z bajki. Tej bajki, która najlepiej charakteryzuje przeżycia z młodości, gdy chudy i wysoki jak tyka chłopiec był przedmiotem wiecznych kpin otoczenia. Niesamowite, jak wiele niedorzecznych lęków nękało go później przez całe dorosłe życie. Zwariować by można od samego ich wyliczania! Wiecznie prześladowała go np. myśl, że dostanie pomieszania zmysłów i skończy jak dziadek. Panicznie bał się ognia, przeciągów i psów. W każdą podróż (a podróżował wiele), zabierał linę, aby w razie pożaru wydostać się z położonej na piętrze izby. Okropnie lękał się morza - ledwo wsiadł na statek - już oczyma wyobraźni widział katastrofę i przełamany wpół kadłub statku. Potrafił kilka godzin wcześniej przyjeżdżać na dworzec, przerażony, że na pewno się spóźni. A kiedy już znalazł się w wagonie, ogarniał go strach, że na pewno źle wsiadł i jedzie w niewłaściwym kierunku. Istna udręka! Bał się chorób i zatrucia (w obawie przed trychinami nigdy nie jadał szynki), prześladowała go upiorna myśl, że może zostać pogrzebany żywcem! Stąd kartka, którą zostawiał przy łóżku: „Zasnąłem, to nie letarg. Zaczekajcie z pogrzebem"..

Ile lat wysiłku i uporu kosztowało to wieczne „duże dziecko", o kapryśnej, wrażliwej naturze i skomplikowanym charakterze, schwytanie złotego ptaka sławy. A dopomogła mu w tym nie kariera aktorska, której bez większych efektów próbował, nie powieści i utwory dramatyczne, które początkowo drukował, lecz sto kilkadziesiąt bajek - w których okazał się mistrzem doskonałym. Dla wielu ludzi na świecie, baśniowa twórczość Andersona to wspomnienie z dzieciństwa i pierwsze literackie wzruszenie. To zapamiętana na długie lata opowieść o Calineczce i królowej śniegu, cesarskim słowiku i ołowianym żołnierzu, pozłoconym bąku i księżniczce na grochu. Niektóre z bajek to wzbogacone romantyczną fantazją ludowe przypowieści duńskie zasłyszane od babki. Inne - jak „Brzydkie kaczątko", „Czerwone trzewiczki", „Pasterka i kominjarczyk" - to baśniowe wersje własnych, życiowych przeżyć.

W czym tkwi ich uroda, siła, światowa popularność? W prostocie języka, zwięzłości, w umiejętności łączenia racjonalnych zdarzeń z dziecięcymi wierzeniami, w zmaganiach wzniosłości z pospolitością, w przezwyciężaniu zła, w zaspokajaniu niezmiennej i bardzo ludzkiej potrzeby przekraczania granic własnej, powszedniej egzystencji.

Marzenia biednego, zakompleksionego chłopca z małego miasteczka spełniły się po latach, niczym w bajce „Łagodny olbrzym," honorowy obywatel Odense, człowiek, który kochał słowiki i róże, cieszył się nie tylko wśród dzieci tak upragnioną sławą. On - syn ubogiego szewca i praczki bywał na królewskim dworze i w arystokratycznych salonach, brał udział w wyborze projektu własnego pomnika, wielu artystów ofiarowało mu i dedykowało swoje dzieła. Współczesna Andersenowi, niemiecka pisarka - Ida Hahn-Hahn, takim go widzi w wierszowanym portrecie: *„Elfów i wróżek pełno tu jak w ulu, / Kwiatów, chochlików rozbawionych wielce, / Lecz nad tym wszystkim – ileż w duszy bólu, / Lecz pod tym wszystkim - jakże smutne serce."*

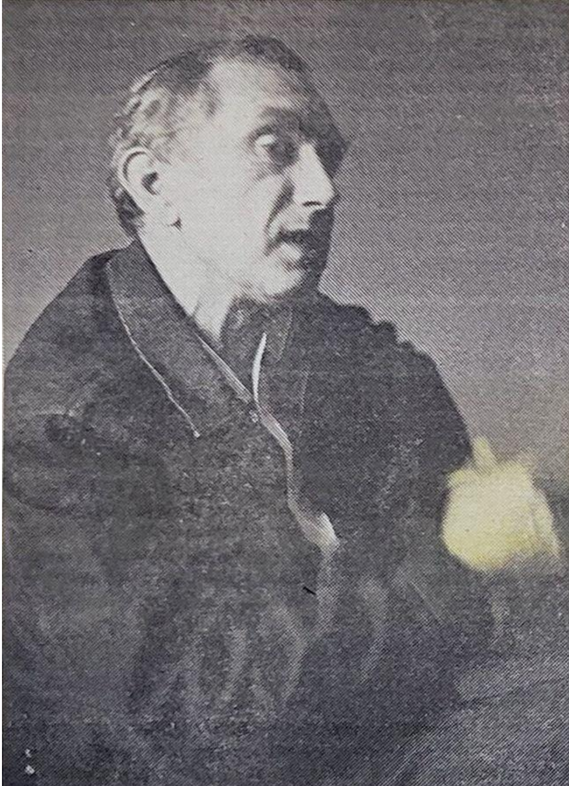
Dziś właśnie - 2 kwietnia, w dniu obchodzonym na całym świecie jako Międzynarodowy Dzień Książki dla Dzieci, mija 100 rocznica urodzin człowieka, który choć zrealizował dziecięce marzenie, do końca swego 75-letniego życia pozostał samotny wśród przyjaciół, bezdomny w ukochanej ojczyźnie. Dla uczczenia pamięci wielkiego, duńskiego bajkopisarza, Międzynarodowe Kuratorium Książki Dziecięcej (IBBY), od 1977 roku (co dwa lata), wyróżnia wpisaniem na Listę Honorową im. Hansa Christiana Andersena szczególnie wartościowe artystycznie książki z całego świata.

Dotychczas znalazło się na niej 19 polskich autorów: I. Jurgielewiczowa, H. Ożogowska, J. Domagalik, W. Żukrowski, E. Niziurski, Z. Chądzyńska, J. Broszkiewicz, A. i Cz. Centkiewiczowie. W. Chotomska, H. Januszewska, M. Kuczyński, A. Minkowski, I. Newerly, E. Nowacka, H. Rudnicka, J. Szczygieł, M. Musierowicz, A. Bahdaj.

**TERESA MACISZEWSKA**

# PRZEPŁYNĄĆ OCEAN

**z ANDRZEJEM URBAŃCZYKIEM, żeglarzem roku 1984, zdobywcą nagrody „Rejs Roku", rozmawia Michał Malicki**



*- Panie kapitanie...*

- Nie, nie, nie! Nie zgadzam się na żadne „panie kapitanie". Żegluję co prawda, z drugim załogantem, ale jego wypowiedzi z reguły ograniczają się do głośnego „miau". Mój koci towarzysz - Myszołów - nie zdążył więc, jak na razie, wbić mnie w kapitańską dumę. A w Ameryce najczęściej mówią do mnie po prostu - „Andy".

*- W takim razie, zgódźmy się na formę „panie Andrzeju". A więc, panie Andrzeju, nasi Czytelnicy wiedzą już, że tytuł „Żeglarza Roku 1984" i nagrodę „Rejs Roku" otrzymał pan za samotny rejs dookoła świata na trasie San Francisco - San Francisco. Ale czy to jest wystarczający powód do chwały?*

- Rzeczywiście, samotnych wokółziemskich rejsów było już wiele i ranga tego wyczynu niewątpliwie spadła. Tym niemniej taka eskapada pozostaje nadal surową próbą i to zarówno dla żeglarza, jak i dla jachtu, na którym płynie. Sądzę, że w moim przypadku jury pod uwagę wzięło fakt samotnego pokonania trasy pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Australią. Jestem pierwszym człowiekiem na świecie, który tego dokonał.

*- A teraz proszę o kilka informacji o jachcie. Dlaczego „Nord" i to w dodatku „IV".*

- To długa i bardzo stara historia. Żeby nie zanudzić Czytelników, powiem tylko, że nazwę „Nord" nosiła sosnowa tratwa, na której w 1957 roku pożeglowałem wraz z trójką przyjaciół przez Bałtyk. Była to pierwsza własna jednostka pływająca. Wiele lat później przyszło mi dowodzić „shipem", którym przepłynąłem samotnie Atlantyk. Na pamiątkę tamtego sosnowego „pływadła" nazwałem swój nowy jacht „Nord II". Później, jak łatwo obliczyć, były jeszcze dwie łódki.

*- Panie Andrzeju, znalazł się Pan już teraz oficjalnie w gronie najsławniejszych polskich żeglarzy. A jak to się zaczęło ? Skąd ta żeglarska pasja ?*

- Nie przychodzi mi do głowy nic innego, jak stwierdzenie, że namiętność do żagli musiałem wyssać z mlekiem matki. Na pytanie, kiedy po raz pierwszy znalazłem się na pokładzie żaglówki, odpowiadam najczęściej; że prawdopodobnie w wieku minus dziewięć miesięcy.

- ?????

- Moi rodzice byli zawołanymi żeglarzami, mam więc prawo podejrzewać, że jeszcze przed swoim urodzeniem miałem do czynienia z wodą, wiatrem i żaglami. A mówiąc już całkiem poważnie, to pierwsze emocje związane z żeglowaniem przeżyłem mając 8 lat. Było to zaraz po wojnie; w 1945 roku. Wszystkie mosty na Wiśle były zniszczone i przeprawy odbywały się łodziami; Traf chciał, że pewnego razu znalazłem się na łodzi, która-różniła się od innych tym, że jej właściciel rozpiął na maszcie ogromny, jak mi się wówczas wydawało, żagiel. Do dziś pamiętam - jak zafascynowany byłem tym, że wyładowana po brzegi łódź porusza się po wodzie „bez napędu". Coś z tego dziecięcego zauroczenia pozostało we mnie do dziś. Nadal przecież wiatr jest zupełnie za darmo, a ten żeglarski „silnik" pozwala dotrzeć do każdego zakątka ziemi.

*- No właśnie. Żagle pozwalają dopłynąć praktycznie wszędzie. Czy to właśnie jest dla Pana największym magnesem jachtingu?*

- Nieee... To jest zupełnie inaczej. Przynajmniej u mnie. To nie ciekawość świata pcha mnie na wodę. Zresztą wiele krajów już znam, niektórych zaś wcale nie jestem ciekaw. Poza tym, jacht jako środek podróżowania po świecie to niezwykle kosztowna zabawa. Widziałem na Zachodzie ludzi, którzy gotowali sobie jedzenie na prymusach pod pokładem własnego jachtu, gdyż nie stać ich było na zjedzenie obiadu w restauracji. Konserwacja jachtu, wymiana żagli, olinowania, wreszcie opłaty portowe - to są bardzo duże wydatki. Podróżowanie jachtem powoduje ponadto, że trzeba go po prostu ciągle pilnować. Niedługo wybieram się wraz z moją żoną, Krystyną, na wyspy Polinezji Francuskiej. Polecimy tam samolotem po to właśnie, aby móc je zwiedzić bez potrzeby wracania co noc do portu i bez niepokoju o spory majątek.

*— Żegluje Pan pod polską banderą, ale mieszka Pan od wielu lat w Stanach Zjednoczonych, w Kalifornii. Jaka jest dla Pana ta Ameryka?*

- To bardzo trudne pytanie i obawiam się, że nie ma na nie prostej i jednoznacznej odpowiedzi. Przede wszystkim jest to kraj bardzo odmienny od innych. Przypomina mi się mój znajomy, który będąc w Stanach powiedział oburzony: „Wiesz, oni tu nie uznają dyplomu Politechniki Warszawskiej!!! " - Rzecz w tym, że „oni" nie uznają żadnych dyplomów.

Kiedy do firmy elektronicznej, w której pracowałem, zgłaszał się nowy pracownik, poddawano go egzaminowi. Wymyślano konkretną sytuację i kandydat do pracy musiał opisać, jakie decyzje w sferze technologicznej należy podjąć. A więc znajomość fachu, a nie formalne świadectwa mają tam największą wartość. Z drugiej strony nawet najlepsi fachowcy mogą zostać z dnia na



dzień bez pracy. Pewnego razu mój szef poprosił mnie do swego gabinetu. Chciałem przyjść później (kontrolowałem właśnie przebieg skomplikowanego procesu produkcyjnego), jednak pryncypał zażądał, bym stawił się niezwłocznie. Poszedłem. Zakomunikowano mi, że firmie przestała się opłacać produkcja, przy której byłem zatrudniony i likwiduje się mój wydział.

- Trudno -powiedziałem. - Cóż mogę zrobić. Pozwól jednak, że wrócę do siebie, bo tam pracuje włączona aparatura.

- Andy - usłyszałem. - Ty mnie źle zrozumiałeś. Ty już tu nie pracujesz.

- Zaraz zaraz - trochę się zdenerwowałem. - W umowie mam napisane, że należy mi się dwutygodniowy okres wypowiedzenia.

- Proszę - szef podsunął mi kopertę. - Tu są twoje pieniądze za dwa tygodnie. Good luck, Andy.

Kiedy wróciłem do swojego pokoju, nie było już tam żadnej aparatury, usunięto moje biurko. Ktoś widocznie zauważył moją zszokowaną minę bo krzyknął: - Chłopie, to jest Ameryka!

*- Wracając do spraw żeglarskich. Pana rejsy to na ogół samotne eskapady. Dlaczego ucieka Pan przed ludźmi na morze?*

— Ależ to bzdura! To nie jest wcale ucieczka. To, czego szukam w samotnym żeglarstwie, to niezapomniane wrażenia - wschody i zachody słońca, latające ryby, śmigające wrzeciona delfinów i wreszcie to co najważniejsze — walka z oceanem. Jest w tym na pewno chęć poczucia własnej siły, świadomość, że człowiek daje sobie radę. Tu jedno zastrzeżenie. Nigdy nie mówię o „zwyciężaniu oceanu". Byłaby to po prostu blaga. Oceanu nie można zwyciężyć. Można go tylko przepłynąć. A co do uciekania od ludzi...

Proszę sobie wyobrazić kilkadziesiąt dni i nocy spędzonych samotnie na oceanie, jedzenie z puszki, a potem - wykwintny obiad w restauracji, spotkania z przyjaciółmi - to dopiero są wrażenia.

Tylko samotny żeglarz potrafi wtedy docenić wspaniały smak życia.

*- Dziękuję za rozmowę i zgodnie z żeglarskim obyczajem życzę „stopy wody pod kilem " albo, jak chcą przewrotni, „kilo wody pod stopą".*

Fot. Maryla Zieleniewska




***W tym zawodzie jest odwrotnie niż w życiu. Awans odbywa sę z góry na dół. Najwyżej, na podeście przy piecu hutniczym, zatrudniamy pracowników, którzy dopiero terminują w szklarskim fachu. Jeśli ktoś opanuje już arkana tego zajęcia, przenosi się niżej, gdzie pracują ludzie o najwyższych kwalifikacjach. Na tych stanowiskach ważna jest nie tylko precyzja wykonania, lecz także twórcza inwencja i wyobraźnia. To już nie są zwykli hutnicy, lecz artyści-rzemieślnicy - reklamuje pracę „formowacza wyrobów szklanych" dyrektor huty szkła „Hortensja" w Piotrkowie Trybunalskim - Waldemar Kelm. I niewiele jest w jego słowach przesady. Czyż nie trzeba być artystą, aby za pomocą prostych narzędzi: metalowej rurki i deski, wyczarować z gorejącej lawy ozdobne kielichy, wazony i puchary o bajecznych wzorach?***



***Piotrkowska huta ma do zaoferowania bardzo bogaty asortyment wyrobów***

# CZARODZIEJE SZKLANEJ MAGMY



***Nie taki diabeł straszny, jak go malują. A warunki pracy są coraz lepsze - mówi Tadeusz Truchalski, który w „Hortensji" pracuje przy produkcji szkła już okrągłe 30 lat***

U nowicjusza pierwszy kontakt z hutą wywołuje zwykle gęsią skórkę. Rzecz jasna, z wrażenia, a nie z chłodu. Temperatura paleniska z roztopionym szkłem przekracza 1400 stopni Celsjusza!

*- Gorące tworzywo, z którym trzeba się zmierzyć uwidacznia naszą nieporadność. Wydaje się, że nadanie rozżarzonej masie zamierzonego kształtu przerasta nasze możliwości. Dopiero gdy opanujemy prawidłowe ruchy i operacje, płynne szkło staje się nam posłuszne.*

*Czy, do tej pracy potrzebny jest talent? Owszem, zdarzają się uczniowie, którzy te pierwsze trudne etapy opanowują szybciej niż inni; posiadający wrodzone zdolności. Ale specyfika pracy w hutnictwie polega na pracy kolektywnej. Nie ma tutaj miejsca na indywidualne popisy. Zadania są tak podzielone, że każdy musi zgrać swój rytm pracy z tempem pracy zespołu. Od stopnia współpracy i koleżeńskości zależy, czy brygada osiąga dobre wyniki i zarobki, czy wlecze się w ogonie* - odsłania tajniki zawodu hutnika Jan Olczyk- instruktor w Zasadniczej Szkole Przemyślu Szklarskiego w Piotrkowie Trybunalskim.

## SZTUKA DMUCHANIA W PISZCZELĘ

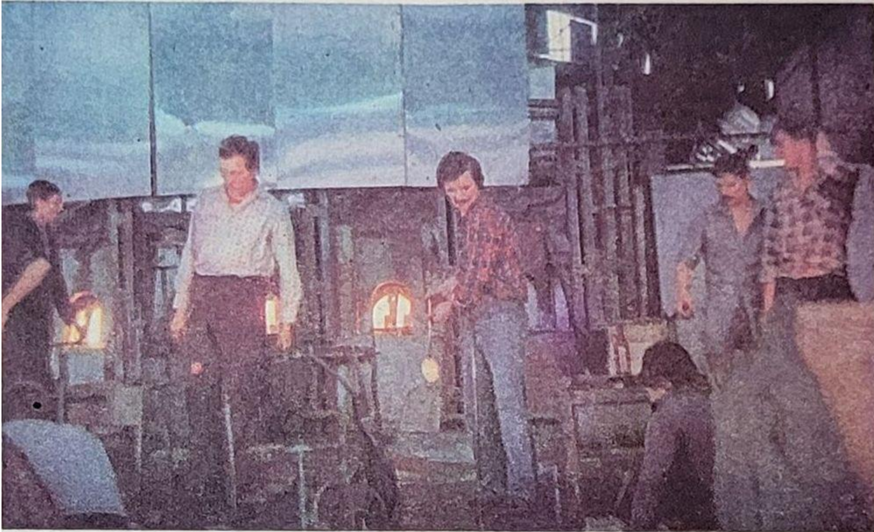
Szkło wytwarza się z trzech podstawowych surowców: piasku, sody i mączki wapiennej. Jego trwałość i wygląd zależy głównie od proporcji tych składników. Nic dziwnego więc, że receptura ta stanowi zazdrośnie strzeżoną tajemnicę zakładu. Ale na jakość szklanych- wyrobów ma wpływ tak wiele warunków (czystość składu surowcowego, temperatura, ciśnienie i wilgotność powietrza), że nikomu na święcie nie udało się jeszcze zaprogramować procesu technologicznego w ten sposób, aby za każdym razem otrzymywać taki sam gatunek szkła.

Najważniejszą fazą produkcji jest proces topienia masy szklanej. Odbywa się on w specjalnych piecach tzw. donicowych lub wannowych.

*- Wyrób formuje się płucami, wydmuchując pod ciśnieniem powietrze przez półtorametrową rurkę zwaną piszczelą. Nie jest to łatwe zadanie, gdyż przy czerpaniu płynnego szkła nie stosuję się wagi czy dozatorów. Pobranie, odpowiedniej porcji tworzywa zależy wyłącznie od wyczucia i sprawnej ręki hutnika. Wyrób nie może być ani za cienki, gdyż łatwo się tłucze, ani za gruby, gdyż trąci walory estetyczne* - objaśnia kierownik warsztatów Adam Miksa.

*- Niezbyt lekka to praca. Ogień zionie jak diabeł. Ale nie taki diabeł straszny, jak go malują. Można się przyzwyczaić. A warunki pracy są coraz lepsze. Stosuje się różne zabezpieczenia: osłony wodne, nawiewy, wyciągi, wentylatory. Kiedyś tego nie było* - dodaje Tadeusz Truchalski, który w „Hortensji" pracuje przy piecu już okrągłe 30 lat.

Troska o dobrą wentylację hali produkcyjnej podyktowana jest nie tylko przepisami BHP.



***Czyż nie trzeba być artystą, aby za pomocą prostych narzędzi: metalowej rurki i deski, wyczarować z gorejącej lawy ozdobne kielichy, wazony i puchary o bajecznych kształtach?***

Specyfika pracy z płynnym szkłem wymusza w czasie jego formowania utrzymywanie naturalnej cyrkulacji powietrza. Pracownik musi precyzyjnie wyćwiczyć kolejne operacje - czyli, jak się to fachowo mówi - opanować „złożenie hutnicze". W przeciwnym razie, jeśli poszczególne ruchy wykonuje się zbyt szybko, wyrób jest za miękki i łatwo się wypacza. Natomiast szkło o nazbyt twardej konsystencji trudno jest formować.

Nadanie odpowiedniego kształtu kielichom, dzbankom czy wazom, to dopiero połowa produkcyjnej drogi. Następny etap polega na eliminowaniu naprężeń powstałych w czasie formowania oraz „opękaniu" - czyli usuwaniu zbędnych części i uszkodzeń powstałych we wcześniejszych fazach produkcji. Potem trzeba jeszcze wyszlifować ostre krawędzie, przyozdobić wyrób (pomalować, wyrzeźbić wzory, grawerować, lazurować) i produkt jest gotowy do pakowania.

## FENICKA TRADYCJA

Dariusz Danielak szkołę zawodową ukończył w zeszłym roku. Pochodzi z Miałów, wioski zagubionej gdzieś w głębi Puszczy Noteckiej. Nie ukrywa, że bardzo sobie chwali możliwość zamieszkania w hotelu robotniczym, który zakład gwarantuje swoim pracownikom. Podjęcie nauki w Piotrkowie było dla niego sposobem na wyrwanie się w świat. Zarobki również ma niezłe.

*- Pracuję obecnie jako podawacz. Praca na zmianie trwa 6 godzin. Na tym stanowisku zarabiam miesięcznie około 16 tys. zł. Koledzy o trochę dłuższym stażu mają kilką tysięcy więcej.*

*- Jest to bardzo popłatny zawód* — uzupełnia jego wypowiedź kierownik warsztatów Adam Miksa. - *Doświadczony hutnik może wyciągnąć nawet 30 tysięcy. Uczniowie otrzymują wynagrodzenie już podczas nauki. Ponadto zamieszkujący w Internacie mają zapewnione bezpłatne zakwaterowanie, wyżywienie, odzież ochronną, ubrania wyjściowe. W szkole działają kółka zainteresowań: teatralne, sportowe, filatelistyczne. Absolwenci pragnący podnieść swoje kwalifikacje, mają możliwość kontynuowania nauki w 3-letnim zaocznym technikum szklarskim w Wołominie k. Warszawy.*

Przy wyborze tego zawodu nie bez znaczenia jest również fakt, że specjaliści z tej branży są ną rynku pracy wprost rozchwytywani. Pomimo że w hutnictwie szkła coraz powszechniej stosuje się automaty, w przyszłości ze znalezieniem zatrudnienia również nie powinno być kłopotów.

„Proces produkcyjny wymaga wysokiej klasy specjalistów, co jest podyktowane artystyczną rangą tego zawodu. Niezbędna jest tu ludzka wyobraźnia i twórcza inwencja, a więc zalety, których nie może zastąpić żaden automat" - czytamy w ulotce reklamowej.

Dyrektor Waldemar Kelm potwierdza, że nie są to slogany bez pokrycia.

*- Specjalizujemy się w wytwarzaniu szkła kilkuwarstwowego. Jest to technologia skomplikowana, gdyż wymaga dokładnego doboru szkła o takim samym wskaźniku rozszerzalności. Taki profil produkcji w znacznej mierze wymaga ręcznej obróbki materiału.*

Szlagierem eksportowym „Hortensji" są wyroby ozdabiane metalową nitką wtopioną między warstwy szkła. Jest to obecnie rzadkość, na rynku światowym i amatorów na ich zakup nie brakuje. Mało kto wie, że takimi właśnie ornamentami zdobili przed wiekami swoje naczynia... Fenicjanie!

**JUSTYN OPARA**
Fot. **autora**

Chłopcy pragnący podjąć naukę w trzyletniej Zasadniczej Szkole Przemysłu Szklarskiego mogą składać podania pod adresem:

**Zespół Szkół Zawodowych Nr 1**
**Zasadnicza Szkoła Przemysłu Szklarskiego**
**ul. Roosevelta 1**
**97-300 Piotrków Trybunalski**

Do podania należy dołączyć: życiorys, świadectwo ukończenia VIII klasy, dwie fotografie, podanie o przyjęcie do internatu (dla zamiejscowych). Przyjęcia odbywają się bez egzaminu wstępnego.

**Specjalistów produkcji szkła kształcą także szkoły:**

- Zasadnicza Szkoła Zawodowa ul. Wolności 80, 57-300 Szczytna Śląska (internat);
- Zasadnicza Szkoła Zawodową ul. Armii Ludowej 85, 05-200 Wołomin (internat);
- Zasadnicza Szkoła Zawodowa Huty Szkła Kryształowego „Violetta" ul. Kościuszki 20, 57-500 Stronie Śląskie (internat);
- Zasadnicza Szkoła Rzemiosł Artystycznych uli Cieplicka 34, 58-500 Jelenia Góra (internat).

---

**W latach trzydziestych przebywał w Iwoniczu-Zdroju Bronisław Czech. Nasz znakomity narciarz zaprojektował piękną skocznię, którą po wojnie nazwano jego imieniem. Rozegrano na niej dwa konkursy skoków w ramach XII Zimowej Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży. W obu triumfował ten sam zawodnik - Alojzy Moskal z MKN Szczyrk.**

### *Najsilniejsza broń - odwaga*

# UZASADNIONY OPTYMIZM



Alojzy urodził się tuż obok slalomowego stoku. O takich jak on mówi się często żartem, że zaczęli wcześniej chodzić ną nartach niż na własnych nogach. I rzeczywiście, już jako kilkulatek ochoczo zjeżdżał z pobliskich górek. Ale nie narty zjazdowe stały się jego pasją. Mając zaledwie 7 lat, za namową kolegów(zapisał się do klubu MKN Szczyrk, do sekcji skoków. Początkowo nie wyróżniał się wśród rówieśników. Raczej drobny, niski, wręcz ustępował warunkami fizycznymi swoim konkurentom. Na sukcesy musiał trochę poczekać.

Startował trzykrotnie w spartakiadzie, ale jego największym osiągnięciem było piąte miejsce zdobyte przed rokiem. Nie przejmował się brakiem medali. Zbierał doświadczenia, poznawał różne skocznie. Poprawił też technikę skoku, a zwłaszcza wyjście z progu, jeden z najtrudniejszych elementów w wyszkoleniu skoczka narciarskiego. Nabierał pewności siebie. Jak sam mówi, jeszcze do niedawna czuł strach stojąc na rozbiegu. Teraz przełamał się i nie myśli już o tym, co może się stać, jeśli niewłaściwie odbije się na progu, czy nie „ustoi" lądowania. Nie bez znaczenia jest też to, że w ciągu kilkunastu miesięcy znacznie urósł, nabrał wagi i wzmocnił mięśnie nóg, tak ważne w tej konkurencji.

Na spartakiadę do Krosna jechał z nadziejami na medal. Miał wprawdzie kilku rywali, ale podczas mistrzostw .Beskidów uległ tylko starszemu o dwa lata Bogdanowi Papieżowi. Ten sukces bardzo podbudował Alojzego. Już po skokach próbnych na skoczni „Górnika" Iwonicz, widać było, że optymizm młodego narciarza jest uzasadniony. W konkursie, w stawce 31 juniorów młodszych, jako jedyny lądował powyżej granicy 60 metrów (60,5m i 61m) i z wysoką notą 204,3 pkt. zdecydowanie zwyciężył. Średnio o pięć metrów bliżej skakali najgroźniejsi konkurenci - Krzysztof Kowal, zdobywca srebrnego medalu i jeden z pięciu skaczących Malików - Andrzej, któremu przypadł w udziale brązowy medal. Radość zawodnika ze Szczyrku i jego trenera pana **Stefana Huli** była ogromna. Swoją przewagę udowodnił Alojzy po kilku dniach, gdy w drugim konkursie ponownie pokonał wszystkich przeciwników. Jeszcze raz wykazał, że dynamika i odwaga to jego najsilniejsza broń. Zdaje sobie sprawę, że ma kilka braków. Do nich może zaliczyć końcową fazę skoku, tzw. ostatnie pociągnięcie, które często decyduje o uzyskanej odległości.

Złoty medalista XII OSM uczęszcza do I klasy Zawodowej Szkoły Gastronomicznej, ale przyszłość raczej wiąże ze sportem. Chciałby zostać trenerem. Póki co pragnie powtórzyć tegoroczne osiągnięcia już w kategorii juniorów, a później dorównać sukcesom Fijasa. Największym marzeniem jest dla niego udział w olimpiadzie. Po cichu liczy na wyjazd już za trzy lata do Kanady. Na razie omijają go kontuzje, nigdy nie miał poważniejszych upadków i ma nadzieję, że dobra passa, będzie dalej trwała. Jeden z widzów spartakiadowego konkursu po pięknym skoku. Alojzego Moskala powiedział z zachwytem: „Ten chłopak będzie kiedyś wielkim skoczkiem". Oby przepowiednia sprawdziła się już wkrótce.

**ANDRZEJ BACZYŃSKI**
Fot. **S. Morawski**

# CZY UFO NAD CZARNĄ?

**Najpierw zobaczyliśmy jedną, potem ukazała się druga i trzecia. Kolorowe kule wznosiły się powoli, szybując w kierunku podmiejskiego lasu. Czyżby W mroźne niedzielne przedpołudnie nad Czarną Białostocką ukazało się UFO?**

**Choć to niedziela, na boisku Szkoły Podstawowej nr 2 przy ul. Traugutta w Czarnej Białostockiej tłoczno jak w czasie dużej pauzy. W puszystym śniegu brodzą chłopcy ciągnąc za sobą foliowe worki. Dochodzą i dojeżdżają coraz to nowe grupy, zbierając się na zaśnieżonym boisku. Gęstnieje też tłum gapiów, przytupujących dla rozgrzewki w takt dyskotekowej muzyki rozlegającej się z głośników.**

**Chłopcy stłoczeni w kilku ciasnych kręgach zawzięcie przy czymś manipulują. Nagle nad jedną z grup zaczyna wznosić się jakby worek, który wkrótce przeistacza się w różnobarwną kulę. A więc to tutaj znajduje się wylęgarnia tego, co na początku wzięliśmy za UFO!**

## Delikatne i kolorowe jak motyle

Zgromadzeni na boisku okazują się zawodnikami XV Zimowych Zawodów Modeli Balonów na Ogrzane Powietrze. Natomiast foliowe worki, tak dzielnie dźwigane przez zawodników, kryją po prostu poskładane starannie balony, które wkrótce wystartują ze specjalnie przygotowanych stanowisk.

*- Zawodnicy to uczniowie szkół podstawowych i średnich. Sami przygotowują swoje modele w klubach i modelarniach prowadzonych przez instruktorów aeroklubu białostockiego* — informuje nas główny sędzia zawodów i jednocześnie pracownik Aeroklubu, pan **Mieczysław Czapla**. Dowiadujemy się też, że dobra konstrukcja balonu to połowa sukcesu w zawodach. Przede wszystkim musi on być lekki. Dlatego poszczególne jego części tzw. bryty - przypominające pokrojoną wzdłuż skórkę pomarańczy - wykonuje się z cienkiej, leciutkiej bibułki. Tę delikatną konstrukcję wzmacnia się jedynie sznurkiem umieszczonym w miejscach sklejenia brytów. Przy wprawie i dobrej organizacji pracy model powstaje w ciągu kilku godzin, ale najczęściej startuje tylko raz. Balon, który spada na śnieg jest już tylko kupką mokrej bibułki. Zdarza się też, że bibułka pęka lub, co gorsza,zapala się od gorącego powietrza, którym napełniana jest kopuła.

To, że zawody odbywają się zimą, nie jest kaprysem organizatorów. Wiadomo, że siłą napędową balonów jest gorące powietrze, które wędrując do góry wypełnia i unosi ten kolorowy pojazd. Im większa jest różnica temperatur pomiędzy powietrzem w kopule, a tym, które ją otacza, tym wyżej i szybciej wznosi się balon. Tak więc mróz to sprzymierzeniec zawodników, choć nieraz zmuszą ich do rozcierania zgrabiałych rąk.

Z tym większym podziwem obserwujemy chłopców, którzy z dużą wprawą rozwijają swoje modele, by umieścić je na specjalnych rurach, pod którymi płoną palniki podgrzewające, powietrze. Start balonu to bardzo ważny moment. Trzeba nie tylko jak najlepiej wypełnić go powietrzem, lecz także tuż przed odlotem włożyć w jego wylot specjalne denko. Utrudnia ono ucieczkę ciepłego powietrza. Liczy się wszak każda sekunda lotu.

Nie obywa się bez przykrości. Oto jedna z drużyn bezradnie patrzy na swój płonący w powietrzu balon. Mimo to, zawodnicy nie zniechęcają się. Mają jeszcze jedną szansę. Regulamin zawodów zezwala na dwa loty.

. Wkrótce nad boiskiem unosi się już kilkanaście różnokolorowych kul. Jedne znikają daleko za horyzontem, inne opadają tuż za ogrodzeniem boiska, a jeszcze inne lądują na dachach pobliskich domów.

Szkoda, że nie ma dodatkowych punktów za wygląd balonów. Niektóre są naprawdę śliczne, jak lekkie, tęczowe motyle.

A przecież kolorowa i cienka bibułka pojawia się w sklepach papierniczych rzadziej niż UFO.

## Może z Czarnej na zawody Gordon Bennetta?

Zapaleńcy tego fascynującego sportu spotykają się na zawodach już po raz piętnasty, choć Czarna Białostocka dopiero pięć lat jest gospodarzem imprezy, przeniesionej tu z Białegostoku. Organizatorzy starają się zawsze, aby poza nagrodami dla zwycięzców sprawić zawodnikom jakąś niespodziankę. W tym roku zaprosili do Czarnej pana **Jerzego Czerniawskiego**, który był w polskiej ekipie technicznej na zawodach o puchar Gordon Bennetta.

Wraz z kolegami ze studenckiego aeroklubu z Białegostoku demonstruje sposób napełniania gorącym powietrzem wnętrza prawdziwego balonu. Na oczach zgromadzonych niepozorny zwój materiału przekształca się w imponujących rozmiarów kulę. Kto chce może nawet wejść na chwilę do kosza podwieszonego pod balonem. Kto się dopcha, wypytuje pana Czerniawskiego o różne szczegóły dotyczące konstrukcji i wyposażenia balonu, ale wszystkich najbardziej ciekawi jak to jest, gdy już się leci...

*- Najciekawiej leci się na wysokości 200 do 100 metrów nad ziemią. Można wtedy wiele zobaczyć, a nawet porozmawiać z ludźmi pracującymi w polu — uśmiecha się pan Czerniawski i dodaje - nieraz lecimy tak nisko, że chwytamy za czubki drzew, by urządzić sobie krótki postój. Wyżej, na 500 metrach zacierają się już wyraźne kształty postaci czy samochodów. Leci się wówczas w absolutnej ciszy. Balon przesuwa się wraz z masą powietrza. Nie ma więc nawet podmuchów wiatru. Taki spokój nastraja do snu tak bardzo, że czasem na zmianę ucinamy sobie drzemkę. Zawsze jednak musi być ktoś, kto kontroluje wysokość lotu i jego szybkość. Latałem wielokrotnie i mogę wam powiedzieć tyle tylko, że każdy lot jest inny i nigdy się nie wie jakie spotkają nas przygody, gdzie wylądujemy. Na tym polega chyba urok tego sportu, do którego serdecznie was zachęcam.*

Pan Czerniawski zaczynał swoją balonową przygodę od zabawy. Startował w takich jak te zawodach modeli balonów. Jego więc zachęty są szczególnie wiarygodne.

Może rzeczywiście z Czarnej Białostockiej drogi poprowadzą na wielkie zawody? Może uda się sięgnąć po puchar Gordon Bennetta?

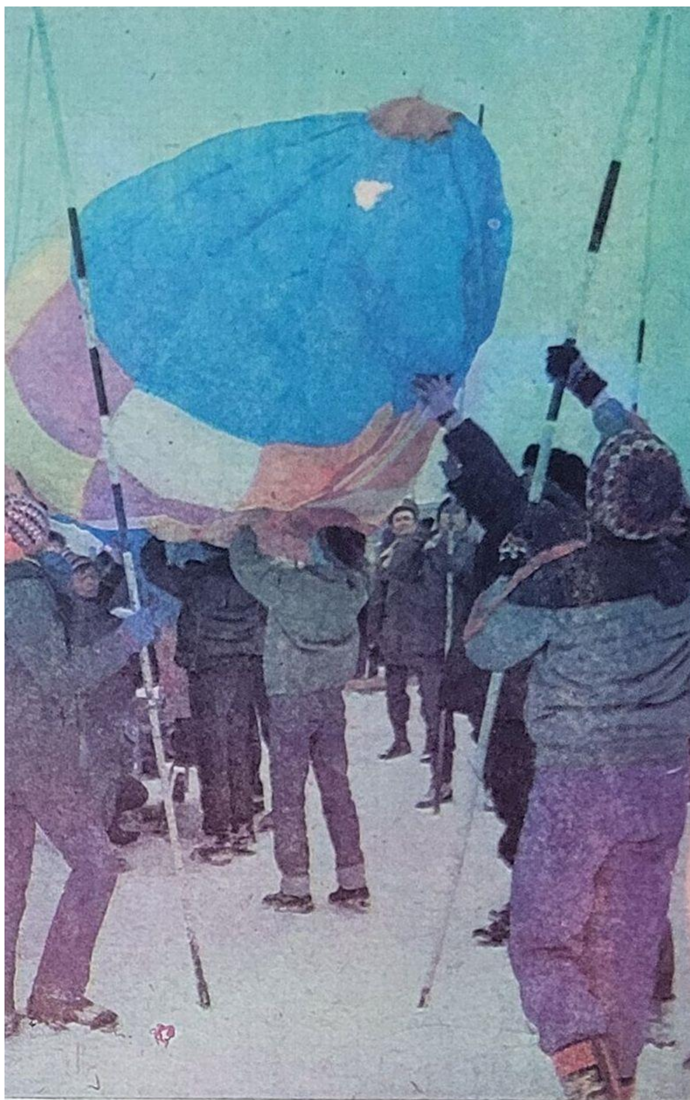
ELŻBIETA STORY
Fot. Maryla Zieleniewska



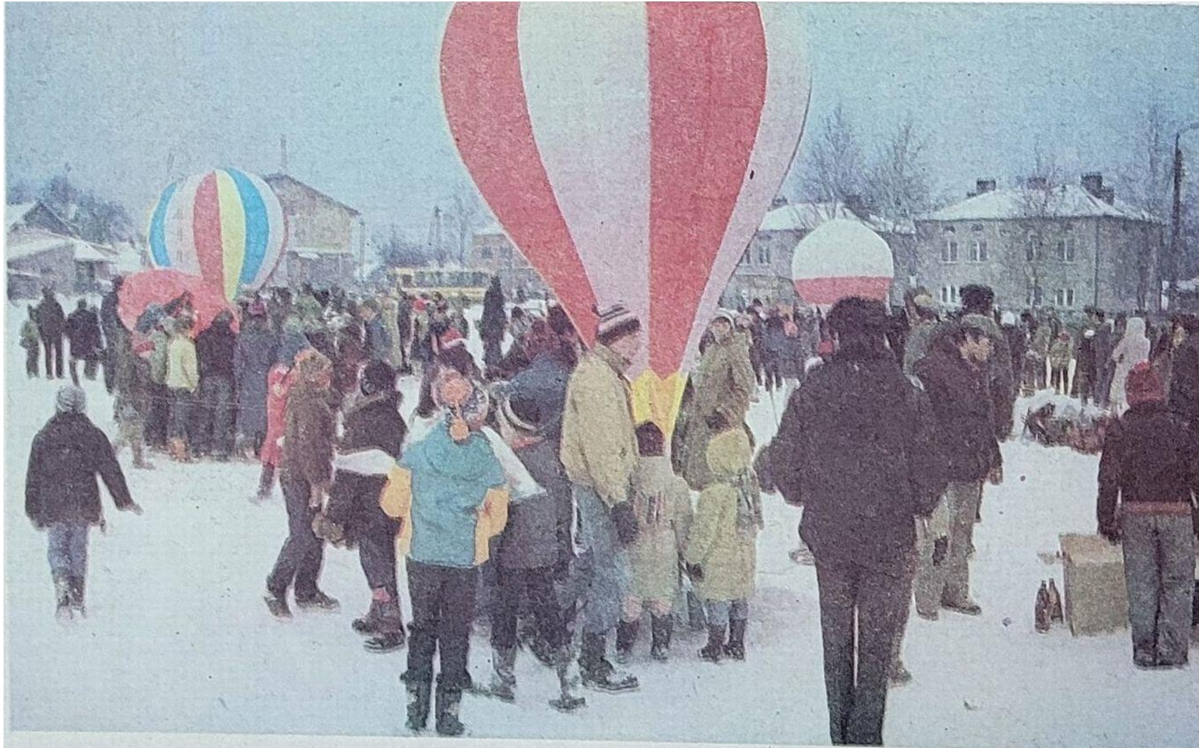
*Klej i zwinne palce to jedyny ratunek, jeśli podczas startu model nieoczekiwanie pęka*



*Jak kolorowe, fantastyczne grzyby wyrastają nad głowami widzów coraz to nowe kule*



*Regulamin zawodów zezwala na delikatne podtrzymywanie balonu podczas napełniania jego kopuły powietrzem*



*Mieszkańcy Czarnej Białostockiej od lat chętnie kibicują zawodnikom*



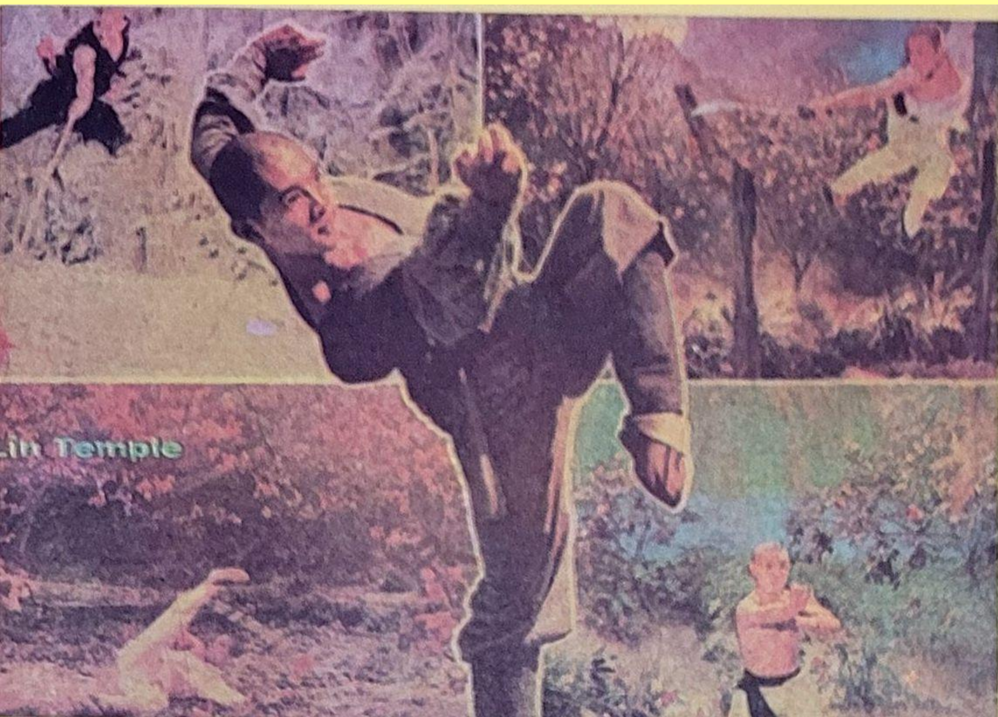
*Chwilą nieuwagi podczas ustawiania pojazdu nad rozgrzaną rurą grozi pożarem*

**W XV Zimowych Zawodach Modeli Balonów na Ogrzane Powietrze w Czarnej Białostockiej udział wzięło 105 zawodników, 6 drużyn i 35 zespołów.**

**Trzy pierwsze miejsca zajęły zespoły z Dąbrowy Białostockiej.**

**Czas przelotu balonów wynosił: 1116 sekund, 1060 sekund i 873 sękundy.**

**Drużynowo zwyciężyli także zawodnicy z Dąbrowy, drugie miejsce wywalczyli chłopcy reprezentujący Spółdzielnię Mieszkaniową „Metalowiec" z Czarnej Białostockiej, trzecie zajął Młodzieżowy Dom Kultury z Białegostoku.**







# POGARDZANE PRZEZ KRYTYKĘ, AKCEPTOWANE PRZEZ PUBLICZNOŚĆ - FILMOWE KUNG-FU

Wszystkie filmy produkcji Hongkongu, które pojawiły się w Europie i Ameryce od końca 1972 r. są utworami należącymi do rodzaju związanego ze sztuką walk Wschodu. Są one specjalnością wytwórni Hongkongu już od lat trzydziestych, ale długo produkowane były z myślą wyłącznie o widzach azjatyckich. W 1973 r. zmarł nagle Bruce Lee - aktor, który jako pierwszy Chińczyk zdobył światową popularność, a dzięki niemu filmy kung-fu zwróciły na siebie uwagę reszty świata.

W chińskiej sztuce walki istnieją dwa mity dotyczące źródeł jej powstania, związane z dwiema głównymi szkołami — szkołą twardą, w której najistotniejsza jest szybkość i siła, oraz szkołą miękką, która kładzie nacisk na równowagę i koordynację.

Na „szkołę twardaą” składa się aż 125 odmian wyrastających z shaolińskiego pnia. To nimi najbardziej interesuje się film, są bowiem ogromnie dynamiczne i przez to widowiskowe.

Legenda „twardej" szkoły walki opowiada, że w 600 r. n.e. do świątyni Shaolin w prowincji Honan przybył członek hinduskiej kasty wojowników — patriarcha Bodhidharma. Wstrząśnięty faktem zupełnego zniewieścienia tamtejszych mnichów, stworzył dla nich program intensywnych ćwiczeń - słynny shaoliński styl boksu (z którego później wykształciło się karate). Sztuka ta okazała się bronią tak groźną, iż powierzano ją wyłącznie ludziom o odpowiednim przygotowaniu moralnym. Natomiast szkoła „miękka" powstała później - w XII wieku. Mędrzec Chang San Fenga, pogrążony w medytacji, obserwował w swym ogrodzie śmiertelną walkę między jastrzębiem i wężem. Uniki węża - zwycięzcy w tym pojedynku — natchnęły go do sformułowania systemu walki na pięści. Ten system również przekazywany był tylko wybrańcom.

Oglądamy właśnie na naszych ekranach film „Klasztor Shaolin". Wyprodukowany on został w Hongkongu, ale przy współpracy Chińskiej Republiki Ludowej. Jest oczywiście klasycznym filmem kung-fu z wszelkimi zaletami i wadami gatunku.

Już ze sformułowania tytułu dzisiejszego „Gwiazdozbioru” możecie się domyślić, że wad mają one więcej niż zalet, co zresztą nie zniechęca rzesz ich zagorzałych miłośników. Większość tych filmów przypomina baśnie ludowe i legendy o prostej, naiwnej fabule.

W „Klasztorze..." wykorzystano legendę z VII wieku o uratowaniu Świątyni I cesarza Li Shi Mina z dynastii Tang przez trzynastu mnichów. Akcja filmu, zgodnie z konwencją tego typu obrazów jest jedynie pretekstem do przekazania w najefektowniejszy sposób umiejętności walczących. Toteż wybierając się do kina na film kung-fu, nie należy liczyć na żadne aktorskie popisy. Natomiast na mistrzowskie koncerty walki liczyć nie tylko można, ale trzeba.

Wykonawcy głównych ról są w pierwszym rzędzie nie aktorami - a mistrzami Walki. Filmy te są też na ogół nieudolnie zrealizowane. Roi się w nich od nieprawdopodobnych scen jak bajkowe, przeczące wszelkim prawom fizyki, skoki na dachy i wierzchołki drzew. Schematyczna akcja przerywana jest romantycznymi epizodami robiącymi wrażenie przypadkowych wstawek, sztucznych „odpoczynków" dla aktorów, którzy dają z siebie wszystko jedynie w scenach pojedynków. Muzyka na ogół jest banalna, wzorowana na muzyce westernowej. Postacie, nieciekawe psychologicznie - dzielą się na typy czarne i białe.

Niektóre z tych mankamentów z łatwością zauważycie i w „Klasztorze". Z drugiej jednak strony, film ten należy uznać za jeden z najwartościowszych w ramach gatunku, obok takich obrazów jak „Żelazna ręka”, „Chiński bokser'', „Szał tygrysa" czy filmów Bruce'a Lee - „Big boss", „Fist of fury", „Way of the Dragon". Wiele w nim planów ogólnych, zwolnionego ruchu, czyli tego, co pozwala odróżnić autentyczne mistrzostwo od mistyfikacji. Do tego został on zrealizowany w historycznej scenerii. Po raz pierwszy mamy okazję oglądać na ekranie Salę Tysiąca Posągów Buddy, wykutą w skale salę Chuen Po - o ścianach pokrytych malowidłami ilustrującymi tajniki sztuki walki wu-szu (chińskie określenie kung-fu) i „Las Pagód", czyli cmentarzysko mnichów.

Oglądając balet kung-fu w tej scenerii, mamy okazję obcowania z tajemniczą, egzotyczną dla nas historią Chin. W dzisiejszym Shaolin, od czasów rewolucji kulturalnej, nie ma mnichów. Zabytkowa świątynia jest już tylko obiektem turystycznym, ale dzięki filmowi jego heroiczna i romantyczna historia staje się znana światu.

Wykonawcę głównej roli, 21-letniego Li Lien-cie uważa się dziś za chińskiego następcę Bruce'a Lee. Czy zasługuje na to miano? Ocenicie sami.

W momencie kiedy wystąpił w filmie, miał lat 18 i był pięciokrotnym mistrzem ogólnokrajowym w dziedzinie wu-szu. Zaczął ćwiczyć jako ośmiolatek. W tym filmie nie ma więc trików. Po „Klasztorze Shaolin" Li Lien-cie przybrał imię Jet Lee i zagrał główną rolę w filmie „Młodzieniec z Shaolin" — ponoć bardziej jeszcze udanym niż „Klasztor", (**ab**)

Fot. **archiwum**

# ZABAWKA

To akurat nic nowego, bo swetry z wrabianymi różnymi obrazkami są modne od dobrych paru lat. Dziewczyny, które dziergają, dobrze o tym wiedzą. To zresztą nie tylko kwestia mody, ale także swoisty konkurs między dziergaczkami na stworzenie takiego małego dziełka sztuki. Dzięki temu współzawodnictwu widuje się od czasu do czasu rożne ładne i zabawne sweterki.

Sweterki-zabawki. Dosłownie! Nie tylko dlatego, że dzierganie takiego obrazka (poczynając od jego projektowania) to jest wspaniała zabawa, ale także dlatego, że ostatnio wśród motywów obrazkowych przeważają właśnie zabawki. Miś, lalka, samochodzik, kolorowa piłka, rozsypane klocki... I to wcale nie na sweterkach przedszkolaków tylko, ale i osób w porównaniu z nimi całkiem poważnych - czyli nastoletnich.

Żeby zaś zabawa z zabawkami była jeszcze lepsza, proponuje się, żeby dwie dziewczyny, które sporo przebywają razem, dziergały sobie podobne sweterki z tą samą zabawką, tylko w innym nieco wariancie. Np, ta sama lalka, tylko w innej sukience, ten sam miś, tytko raz uśmiechnięty, a drugi raz smutny itp.

Te dwie dziewczyny na zdjęciu wydziergały sobie zabawkę-pociąg. Pociąg jest długi, więc na jednym sweterku jest jego początek, z lokomotywą, a koniec - na drugim. Zresztą... pociąg może mieć wagonów bardzo dużo, do takiej spółki może przystąpić nawet pół klasy. Wyobrażacie sobie, jaka to by była zabawa?!...

DOM MODY
świata młodych



*List z wakacji w NRD*

# DINGO

Do Buchenwaldu dojechaliśmy w poniedziałek. W okolicach tego miasta mieliśmy pracować

Przyjęto nas wspaniale. Grupa pionierów przygotowała znakomite przedstawienie. Mieliśmy prezenty dla kolegów z NRD. Oni o nas też nie zapomnieli. Swoim upominkiem obdarowałem Klausa, jeszcze wtedy nie wiedziałem, że będzie to mój najlepszy kolega. Po tak wspaniałym przyjęciu poszliśmy spać. Następnego dnia spotkaliśmy się w lesie przy pracy. Zbieraliśmy gałęzie i sadziliśmy drzewka przez 8 godzin. Resztę czasu spędziliśmy na zwiedzaniu miasta, grach i zabawach. Klaus oprowadzał mnie po swoim mieście. Pokazywał ciekawe domy, zabytki, muzea i inne rzeczy. Był bardzo miły i wesoły. Porozumiewaliśmy się po rosyjsku lub na migi. Czasami nie mogliśmy się zrozumieć. A mimo to było przyjemnie i zabawnie, Klaus do pracy w lesie przychodził ze swoim psem, dużym, białym i mądrym owczarkiem Dingo. Chłopiec kopał dołki, a jego przyjaciel przynosił mu drzewka do sadzenia. Przy tak wspaniałej pomocy praca szybko posuwała się naprzód.

Któregoś dnia z Klausem do lasu Dingo nie przyszedł. Nie wiedzieliśmy, co się stało. Dopiero po kilku godzinach zobaczyliśmy idącego psa, a za nim dwie kotki Sabinę i Kleopatrę. Widocznie zaprosił je do lasu, żeby popracowały, ale kotki wcale nie miały zamiaru pomagać pieskowi. Dingo szczekał na nie, poganiał, bez skutku. Wreszcie dał spokój. Pies pracował, a kotki wygrzewały się na słońcu. Dzień ten upłynął wesoło. Następny znacznie gorzej, gdyż w lesie Dingo ujrzał zająca. Pogonił za nim i nie wracał ładnych parę godzin. W pewnym momencie usłyszeliśmy skomlenie. Wszyscy pobiegli w tę stronę. Zobaczyliśmy leżącego Dingo. Jego wygląd był straszny. Po sierści spływała krew, był cały pokaleczony. Pomogliśmy Klausowi i wspólnie zanieśliśmy go do domu.

Następnego dnia chłopiec przyszedł sam i było tak przez kilka dni. Wszyscy dopytywali o zdrowie psa. Wreszcie nadeszli razem. Klaus był znowu wesoły Ale tym razem Dingo nie pomagał panu: leżał jeszcze pozawijany i patrzył na swego opiekuna. Dotąd nikt z nas nie wie, czemu pies był ranny, może walczył z dzikiem lub innym psem. Nie wiadomo. Po kilku dniach nadszedł czas rozstania. Dingo był już zdrowy. Na pożegnanie Klaus podarował mi zdjęcie, na którym był on i jego pies.

**Grzegorz Sieńko**
**Romejki**

## Zgodnie z zapowiedzią TELEWIZYJNEGO MAJSTERKLEPKI drukujemy schemat EFEKTU GITAROWEGO

# KOSMICZNY ZEGAR

(PAP). Jak uzyskać superdokładny czas? Do niedawna wykorzystywane były do pomiarów czasu metody astronomiczne. Obrót Ziemi wokół osi oraz ruch naszej planety wokół Słońca stwarzały podstawy naszego czasu. Pomiary były w miarę rozwoju techniki coraz bardziej uściślone. Stosowano też pomocnicze pomiary polegające na śledzeniu momentu przejścia określonych gwiazd przez wybrany na Ziemi południk. W ostatnich dziesięcioleciach wprowadzono atomowe pomiary czasu i opartą na nich skalę. Każda skala ma swoje wady i zalety. Ruch wirowy Ziemi można mierzyć z dokładnością do dziesięciotysięcznych części sekundy;

Niedawno odkryto nowe możliwości uzyskania superdokładnej skali czasu. Są to pulsary - silnie, namagnesowane, szybko wirujące gwiazdy neutronowe, wysyłające regularnie impulsy radiowe w odstępach od 0,03 do 4 sekund. Obserwacje pulsarów prowadzone przez radzieckich uczonych wykazały, że są one bardzo dokładnym zegarem. Wytypowano dla celów pomiarowych wzorcowy pulsar oznaczony symbolem PSR 0834+06. Czas mierzony za pomocą radiowych impulsów tego pulsara jest dokładniejszy niż przy niektórych pomiarach astronomicznych. Uzyskanie nowej - pochodzącej z kosmosu - skali czasu ma duże znaczenie dla pomiarów. Pulsarowa skala czasu jest niezależna od warunków panujących na Ziemi.

**Nasze miejsce we wszechświacie, długość naszego życia, względność czasu - oto problemy, które porusza dziś Mariusz Wieczerzański na tle możliwości podróży międzygwiezdnych. Jego refleksje są pesymistyczne, wskazując bowiem na niemożliwość dalekich wypraw ze względu właśnie na zbyt krótki okres życia człowieka. Czy zgadzacie się z taką diagnozą?**

**PREZES**

# MIĘDZY NAUKĄ A SCIENCE FICTION

Droga Redakcjo! Pragnąłbym przedstawić na łamach TOMIKA moje refleksje, jakie nasunęły mi się po przeczytaniu książki pt. „Zagadkowy świat" Andrzeja Donimirskiego. Znajduje się tu dawka realiów, porcja fikcji, jak też moje rozważania na ten temat.

Mam nadzieję, iż moje wywody dadzą dużo do myślenia stałym Czytelnikom TOMIKA.

Los rzucił nas na małą planetę, jedyną ożywioną wśród dziewięciu okrążających Słońce. Pozostałe planety są nieprzydatne dla człowieka. Ich powierzchnie to jałowe, kamienne pustynie, bądź obszary skute wiecznym lodem i pogrążone w mroku. Jesteśmy więc sami w naszym układzie i zawsze sami w nim pozostaniemy.

Nawet ewentualne przyszłe skolonizowanie najbliższych ciał niebieskich tej samotności nie zmieni...

Los także umieścił nasz wielki dom, czyli Układ Słoneczny na dalekich peryferiach Drogi Mlecznej w prawie pustej przestrzeni, między tzw. ramionami galaktycznymi, gdzie rozrzedzenie gwiazd wynosi średnio pięć lat świetlnych jedna od drugiej. Nawet dalekiej „łuny świateł wielkiego miasta" - jądra Galaktyki - stąd nie widać, gdyż przesłaniają je chmury pyłu kosmicznego. Mamy więc wyjątkowo niekorzystną lokalizację-zarówno w naszym układzie jak i w całym kosmosie.

Los wyznaczył nam też długość życia tak niewielką, że nie daje ona praktycznie żadnych możliwości przebycia tych ogromnych przestrzeni, nie daje też szans na wielkie dokonania zarówno na Ziemi, jak i w kosmosie. Zamiast więc działać w pojedynkę, pracować musimy pokoleniami, przekazywać ledwo zdobyte doświadczenia - następcom. A ci nie zawszę przecież kontynuować mogą nasze wysiłki.

Taka jest, streszczona w kilku zdaniach prawdą o nas i świecie, w którym żyjemy.

Czy może być inaczej? Na przykład gdyby wielkość naszych organizmów była inna lub inna była długość życia?

Wydaje się, że czas jest problemem jeszcze bardziej zawikłanym niż sprawa przestrzeni. Gdybyśmy na przykład napotkali w kosmosie jakieś inteligentne stworzenia, lecz znacznie większe od nas i chclellbyśmy nawiązać z nimi kontakt, nie wiadomo czy byłoby to w ogóle możliwe, głównie wskutek zwolnionego - w stosunku do naszego - tempa ich życia. Chodziłoby o stworzenia tak wielkie jak całe planety.

Brzmi to nieprawdopodobnie, ale wielokrotnie już była mowa, że kosmos jest tak wielki i tak różnorodny, iż „wszystko jest w nim możliwe”.

*Tak prawdopodobnie ▶ wygląda nasza Galaktyka (na dole wygląd Galaktyki z boku). Miejsce Słońca i całego układu planetarnego w tym wielkim zbiorowisku gwiazd wskazują strzałki*

Angielski astronom Fred Hoyle w znanej powieści science fiction pt. The Black Cloud (Czarna chmura) opisuje inteligentny organizm, istniejący w postaci gazowego obłoku o średnicy 150 milionów kilometrów! Myśli tego stworzenia – pisze Hoyle - biegną z szybkością fal radiowych. Niemniej musi minąć 10 minut zanim impuls z jednej części jego „ciała" przedostanie się do drugiej. Impuls nerwowy w mózgu człowieka przenosi się z szybkością jednej tysięcznej sekundy. Stąd proste porównanie: „czarna chmura" potrzebuje milion razy więcej czasu, by mogła funkcjonować tak jak nasz mózg.

Wymiana myśli z taką - skądinąd, być może, bardzo inteligentną istotą, byłaby niezwykle męcząca; musielibyśmy ogromnie długo czekać na odpowiedzi na zadawane pytania. Dla sformułowania bowiem jednego krótkiego zdania istota ta zużywałaby parę miesięcy czasu!

Tak - przykładowo - wyglądałby problem czasu, a ściślej mówiąc, szybkości życia u istot z megaświata. Odwrotnie rzecz przedstawiałaby się w mikroświecie.

Wydaje się, że twórcy powieści science fiction piszący o mikroświatach mają w pewnym sensie rację. Za zmniejszaniem się wymiarów danego stworzenia podąża prawdopodobnie zwiększanie się szybkości jego życia. Małe zwierzęta na przykład mają - według naszych pojęć - krótkie życie, ale za to w tym samym czasie co my potrafią przeżyć znacznie więcej.

Inaczej mówiąc, żyją one szybciej. Ptakom czy muchom my, ludzie, wydawać się więc musimy bardzo ociężałymi, leniwymi lub powolnymi osobnikami.

Natomiast w granicach wielkości atomowych czas zaczyna pędzić nieledwie z szybkością światła. Gdyby wyobrazić sobie atom jako mini-układ planetarny posiadający słońce - jądro atomowe oraz krążące wokół planety - elektrony, to wówczas obroty tych „planet" wokół „słońca'' byłyby niewyobrażalnie szybkie. Według modelu Rutherforda - Bohra jeden elektron atomu wodoru obiega jądro około miliona razy w ciągu sekundy. Gdyby porównać to z czasem obiegu najbliższej Słońcu planety, tj. Merkurego, który, jak wiadomo, okrąża je w ciągu 88 dni, można by dojść do wniosku, iż wewnątrz atomu czas biegnie około dziesięciu tysięcy trylionów razy szybciej niż w świecie planet.

Żaden więc bohater utworów science fiction nie mógłby opuścić swego atomowego mikroświata więcej niż raz w życiu. Gdyby bowiem nawet tylko po upływie jednej godziny powrócił z powrotem na swoją planetę-elektron, minęłyby już w jego świecie setki milionów „lat", licząc czas w obrotach elektronu wokół jądra. Oczywiście jest to porównanie czysto teoretyczne.

Czas może więc biec bardzo „wolno" lub bardzo „szybko", może też „stać w miejscu".

Przykład: bakterię dzielą się, tj. rozmnażają, przeciętnie około 20 minut. Lecz gdy znajdą się w niekorzystnych warunkach, mogą zmieniać się w tak zwane spory, które zamknięte w jakichś kamiennych szczelinach, lub innych tego rodzaju schronieniach, oczekują przez miliony lat na moment, gdy warunki staną się znów korzystne. Wtedy zaczynają się rozmnażać, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Jest to chyba doskonały dowód względności czasu - niezależnie od zdefiniowania tego pojęcia przez fizykę.

Powyższe przykłady zarówno z dziedziny science fiction jak i z otaczającej nas przyrody świadczyć mogą, iż długość życia danego osobnika jest rzeczą względną.

My, ludzie żyjemy zaledwie kilkadziesiąt lat, inne istoty inteligentne mogłyby żyć znacznie dłużej, już choćby dlatego, że miałyby podobną do ziemskich bakterii zdolność przekształcania się w spory.

Zwiększanie długości życia w zasadniczy sposób zmieniłoby wszystkie obliczenia i szacunki odnośnie możliwości podróży kosmicznych. Weźmy proste porównanie: gdyby długość życia człowieka wynosiła na przykład pięćset lat, wyprawa do gwiazdy położonej w odległości kilkunastu nawet lat świetlnych zajęłaby mniejszą część jego istnienia. A ta, pozornie absurdalna długość życia może być, w skali kosmicznej, znacznie poniżej przeciętnej.

Już na Zierni niektóre zwierzęta żyją dłużej od człowieka (papugi, żółwie, itd.), zaś w świecie roślin wielkie drzewa osiągają wiek tysięcy lat. Być może więc istoty inteligentne z kosmosu mają tysiąc, dwa lub więcej lat trwania osobniczego. W takiej skali czasu zupełnie inaczej przedstawiają się możliwości rozwojowe cywilizacji, a przede wszystkim penetracji kosmosu...

**Mariusz Wieczerzański**
**ul. Wianek 7/16**
**39-400 Tarnobrzeg**

# KĄCIK KORESPONDENTÓW

**Robert Kołaś** (17 lat), ul. Klasztorna 21, 31-979 Kraków - nawiąże kontakt z osobami piszącymi utwory o treści fantastycznej lub s-f. Poza tym chętnie na wiąże korespondencję z interesującymi się astronomią i fantastyką naukową. Robert poszukuje „Atlasu Gwiazd?; i „ABC miłośnika astronomii". **Marek Kowalski** (14 lat) ul. Dzierżawna 32F, 20-404 Lublin - prosi o pomoc w budowie amatorskiej lunety, **Mirosław Nosek**, ul. Lelewela 34/17, 43-300 Bielsko-Biała - poszukuję lunety lub teleskopu powiększającego minimum 50 x, ale nie więcej niż 100 x. Zamieni także liczne mumery „Młodego Technika" na kalendarz astronomiczny wydany przez to wydawnictwo. **Hubert Słodziński**, ul .Jana Hempla 4 m. 27,20-008 Lublin - kupię teleskop lub lunetę powiększającą minimum 20-30 x. **Jakub Rogowski** (15 lat), plac 19 Stycznia 9/21,13-230 Lidzbark Welski - poszukuje materiałów (książek i podręczników) dotyczących minikomputerów domowych i komputerów osobistych, ich obsługi i programowania. **Małgorzata Anielczyk** (16 lat), ul. Wójtowska 9/21, 30-020 Kraków -interesuje się gatunkiem twórczości s-f, ponadto zbiera wiadomości na temat UFO i Yeti.

Uwaga, pisząc do kącika korespondentów TOMIKA podaj dokładny swój adres, wiek oraz krótko sformułowane zainteresowania. Za transakcje handlowe i zamienne czytelników redakcja nie bierze odpowiedzialności.

---

Odetchnąłem. Ruszyliśmy. Mogłem wreszcie rozejrzeć się dokładniej. Było tam wszystko, czego można by się spodziewać po ogrodach położonych w środkowej Anglii. Nawet bzy. Właśnie kwitły i poczułem dla nich coś w rodzaju współczucia, bo ich skromne kwiaty wydawały się śmieszne wobec szaleństwa tropikalnego gaju obrzeżającego ten dziwny zakątek.

Kiedy podeszliśmy bliżej domu, wyszedł nam naprzeciw mężczyzna w sile wieku, o nieugiętej twarzy. Przenikliwe oczy zapaliły się, gdy spoczęły na dziewczynie, a potem zmierzyły mnie, znacznie mniej chłodno, niż mógłbym się spodziewać. Patrzyły na mnie - nie mogłem się mylić - z nadzieją.

Stał przed domem, na jego tle, i czekał na nas, a ja podchodząc nie mogłem zrozumieć, co w nim - prócz nienaturalnej sztywności - tak mnie niepokoi. Dopiero kiedy Maud wspięła się na palce i pocałowała go w policzek, kiedy jej prawie nagie ciało znalazło się w bezpośrednim sąsiedztwie tego mężczyzny, olśniło mnie.

(Ojciec umilkł, szklaneczka jeszcze raz stuknęła o stół, mama poruszyła się.

- Światło - zażądała.
- Nie - odezwał się natychmiast Chłopak, a Jaś mu zawtórował:
- Nie, proszę.
- Dobrze - zgodziła się mama. - Już dobrze).

Był ubrany, ja wiem? - jak dyrektor banku w godzinach urzędowania. Szary wełniany garnitur, nieskazitelna koszula, krawat z barwami szkoły. Brakowało mu tylko melonika.

- Zostanie pan? Może pan zostanie? - spytał mężczyzna, nim zdążyliśmy się przywitać. Dopiero potem wyciągnął dłoń do uścisku i kiedy dotykałem jego skóry, okazało się, że jest sucha i chłodna, mimo tego ciężkiego ubrania i mimo upiornego upału. To moją ręka się pociła, choć odziałem się lekko, w płócienny mundur;

- Dziś mogę - powiedziałem. - Ale należy zawiadomię moich ludzi.
- Zaraz poślę kogoś. Tylko dziś?

Rozłożyłem ręce;

- Obowiązki.
- Tak; Obowiązki - przytaknął i skłonił głowę, jakby samo słowo: obowiązki wzbudziło jego szacunek.

Obowiązki rzeczywiście znaczyły dla niego wiele, Poświęcił im całe swoje życie. Opowiedział mi o tym. Przystąpił do opowiadania prawie bez zwłoki, kiedy tylko usiedliśmy na tarasie za domem, w cieniu, i kiedy tylko wymieniliśmy parę uwag o pogodzie.

Podano napoje. Służba była czarna, co mnie trochę rozczarowało, bo spodziewałem się zobaczyć nieskazitelnego angielskiego kamerdynera. Zresztą lokaj się znalazł i chyba był nieskazitelny, choć ciemnoskóry, co nieco psuło doskonałość otoczenia.

Kiedy mężczyzna zaczął opowiadać, dziewczyna znieruchomiała w swym wiklinowym fotelu i nie poruszyła się ani nie odezwała aż do końca jego wyznań. Patrzyła na mnie, a ja coraz staranniej unikałem jej wzroku, żeby nie wyczytać w nim zbyt wiele. Zaraz zrozumiecie, dlaczego.

Mężczyzna jeszcze raz, wyraźniej, wymienił swoje nazwisko. Podczas prezentacji przed domem puściłem je mimo uszu i on to chyba zauważył. Nazwisko nic mi nie mówiło, lecz mężczyzna czekał chwilę, jakby spodziewał się reakcji, a potem zagadnął, czy nie będzie nadmiarem wścibstwa, jeśli spyta o moją narodowość. Powiedziałem mu. Westchnął:

- No tak, to wszystko tłumaczy. Polska leży tak daleko. Mógł pan nie słyszeć o nas, o moim rodzie.

Potem zaczął mówić i opowiadanie zajęło nam prawie cały czas do obiadu. Snuł długą, ponurą i skomplikowaną historię.

Postaram się ją streścić w paru zdaniach.

To był stary ród. I ciążyło na nim przekleństwo.

Kobiety w tej rodzinie słynęły z piękności. Gdy dziewczyna przychodziła na świat, a zdarzało się to mniej więcej raz na dwa pokolenia, mężczyźni sposobili broń i szukali sprzymierzeńców. Bo piękność ich kobiet nosiła w sobie ziarna zagłady. Trwało to tak długo, tyle setek lat, że ten mężczyzna, wykształcony i współczesny, opowiadał o przekleństwie z pełnym przekonaniem. Wierzył w nie i wierzył w zatrutą urodę kobiet swojego rodu. Sypał zresztą przykładami. Powiedział o jakiejś trzynastowiecznej Dianie, przez którą spustoszono dwie prowincje i jedno, co prawda niewielkie, królestwo, o szesnastowiecznej Luizie spalonej na stosie za czary, która wcześniej mimochcąc doprowadziła do kilkunastu pojedynków, przewrotu politycznego i krwawo stłumionego spisku.

Cdn.

16 SCENARIUSZ I RYSUNKI SZARLOTA PAWEL

# ZŁOTO ALASKI

PRZYGODY JONKI, JONKA i KLEKSA '85





















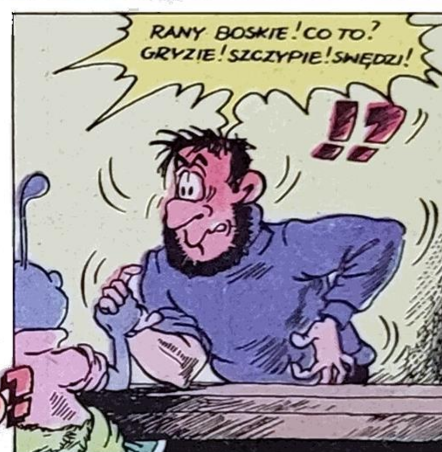













ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 40 (3970)
Wychodzi: wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (z-ca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobyłecka (z-ca red. nacz.) Teresa Maciszewska, Jan Orgelbrand, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (z-ca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY: Red. naczelny 21-15-61 Sekr. redakcji 28-25-48. Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13 (czynnyw godz. 11-15).
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 03-965 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i teminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa – Książka – Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: Inna Bójska
Opracowanie techniczne: Wiesława Chmielewska
Korekta: Bianka Abratowska-Lisowska
DSP Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Zam. nr 1097/G. N-4
Nakład 500 000

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

## UŚMIECH NUMERU

- RADZĘ PANI kupić tę suknię - namawia sprzedawca w butiku. - To ostatni krzyk mody!

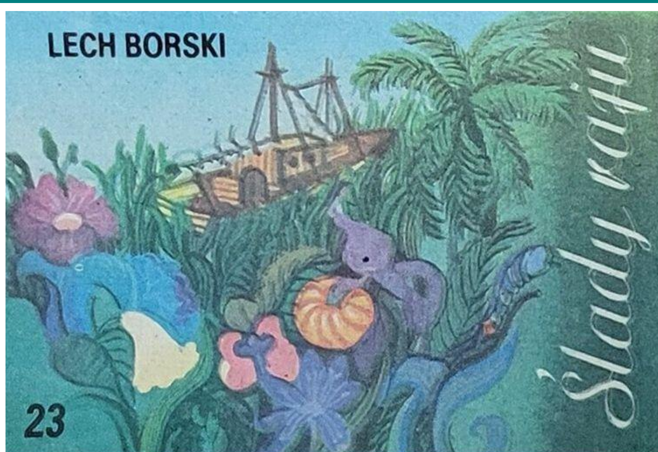
- Boję się, że gdy mój mąż dowie się, ile zapłaciłam, wyda również ostatni krzyk...

*

ABY WYJAŚNIĆ uczniom pojęcie złego uczynku, nauczyciel pyta Mądralę:

- Czy już kiedyś wyjmowałeś nożem przez szczelinę skarbonki pojedyncze monety?

- Jeszcze nie! - odpowiada Mądrala - Ale pomysł jest przedni...




Skłoniłem się i czekałem, aż podejdzie bliżej, a ona szła stawiając ostrożnie stopy, z gracją i lekko, i patrzyła na mnie poważnie i bez zaciekawienia. Potem przystanęła.

Była piękna.

- Tak — mruknęła mama. — Oczywiście.

I jednocześnie ozwało się syknięcie Chłopaka.)

Powiedziałem jej, kim jestem. Nie pytałem o nic, gdyż byłem obcy na tej wyspie i nie miałem prawa do pytań. Ale ona odezwała się do mnie i wymieniła swoje imię:

- Maud.

Przypatrywała mi się chyba minutę, potem skłoniła głową w stronę morza. Przytaknąłem, powiedziałem, że jestem stamtąd.

- Zaraz odpłyniesz - stwierdziła.

- Nie muszę - szepnąłem ostrożnie.

Wtedy wyciągnęła rękę i dotknęła mojego ramienia, po chwili cofnęła' się, dając znak, że mam za nią iść.

Tam było przejście, koło tej ogromnej palmy, zasłonięte pękiem lian - wystarczyło je odsunąć. Wchodziło się do wąskiego wilgotnego tunelu i ścieżką od razu prowadziła pod górę, człowiek czuł się jak nurek. Oddychało się ciężko, powietrze wydawało się lepkie, a wszelkie dźwięki brzmiały głucho, jakby ostrożnie przez kogoś tłumione.

Szliśmy jednak niedługo. Dziewczyna prowadziła, a idąc przede mną nie odwróciła się ani razu. Stąpałem za nią i chyba nawet nie widziałem lasu: podziwiałem grację jej kroków, matową gładką skórę silnych nóg, lekkie przegięcia kibici. I żałowałem niemal, że ta mroczna droga się skończyła, gdy znaleźliśmy się znienacka na otwartej przestrzeni, i jej stopy, a potem moje buty dotknęły płyt chodnika.

Byliśmy w ogrodzie, choć nic nie oznaczało granicy między nim a lasem. Nie istniała siatka,, nie było muru, nagle kończyła się dżungla a zaczynał ogród, pełen tych samych drzew i roślin, które można by znaleźć i w dole, ale drzew i roślin oswojonych, potulnych i przychylnych człowiekowi. Nawet ptaki brzmiały tu inaczej.

Maud nie zatrzymała się. Kroczyła po chodniku mijając kępy araukarii, palm, barnbusów, platanów, omijając łączące się pędy obsypane ogromnymi, czerwonymi kwiatami, trącając zwisające z nieba storczyki i wzbudzając swym ruchem falę odurzającego zapachu.

Potem zobaczyłem dom i musiałem przystanąć, nie wierząc świadectwu własnych oczu. Wydawało mi się, że śnię. Maud przewidziała moje zdumienie i przystanęła także, ciągle nie oglądając się, jakby chciała mi dać czas.

Dom wyglądał jak wiktoriańska, wiejska rezydencja. Nie wyglądał, był nią, z całą brzydotą rozsadzonej nadmiarem pomysłów bryły, dom pseudogotycki, niestosowny i ponury. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał się do nas odwrócić plecami. Tak, dom był jak wstrętny wybuch. Ale zmienił się i ogród. Jakiś szaleniec włożył kiedyś ogrom trudu i pieniędzy, żeby przenieść w samo jądro tropików srebrne świerki, które rzędem stały po obu stronach fasady. Tuje pod oknami, a nawet kilkadziesiąt topoli, których szpaler wiódł za dom, zapewne ku wozowni, bo tam musiała być wozownia, i może w niej jakiś kocz czy wręcz kareta podróżna, choć przysiągłbym, że na wyspie nie było ani jednej drogi.

- To zbudował mój prapradziadek - powiedziała Maud.

Dokończenie na sir. 7